

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1,—.

Rok IX

Warszawa, 3 maja 1953 r.

Nr 18 (388)

Zygmunt DROZDEK

Dzień jedności i solidarności

KIEDY w roku 1889 Drugi Kongres Międzynarodówki proklamował dzień pierwszy maja jako święto solidarności klasy robotniczej całego świata — wielu ludzi nie wierzyło w rychłe zrealizowanie tych wszystkich postulatów, których domagać się miały masy pracujące w manifestacjach pierwszomajowych. A przecież jakże skromne były te żądania: skrócenie dnia pracy do ośmiu godzin, równa płaca za równą pracę, ochrona pracujących kobiet i dzieci itp.

Burżuazja, ta sama burżuazja, która dziś szermuje frazesami o humanizmie i wolności, która gloryfikuje siebie jako obrońcę tych ideałów, nie zdobyła się wówczas na uznanie słusznym postulatów żyjących w skrajnej nędzy robotników; co więcej, na masowe wystąpienia klasy robotniczej odpowiadała salwami karabinów i pałkami policyjnymi. Salwami karabinów, zgrzytem bramy więziennych zagłuszyć chciała głos protestu milionów sponiewieranych nędzarzy.

Nie zagłuszyła tego głosu, ale też nie ustąpiła. Proletariat niezorganizowany, a raczej częściowo zorganizowany w małe ruchy polityczne i zawodowe, często skłócone między sobą, nie miał dość siły, aby przeciwstawić się politycznej i ekonomicznej przemocy świata kapitalistycznego, który aczkolwiek wewnątrz rozbił sprzecznościami interesów, na zewnątrz w stosunku do klasy robotniczej występował jako organiczna jedność, jako potężny, jednolity blok związany wspólnym strachem przed masami pracującymi.

Dzień pierwszy maja stał się małym dniem solidarności wszystkich pracujących. Wspólne manifestacje protestacyjne miały przypomnieć robotnikom, że w jedności tkwi siła, która przeciwstawić się może wyzyskowi i która wyzysk ten może przezwyciężyć.

Historia tych walk jest twarda i tragiczna, ale logiczna i konsekwentna zarazem. Na nie zdały się bagnety i pałki policyjne, świadomość pracujących narastała z każdą manifestacją, z każdym strajkiem. Coraz więcej robotników zaczęło się budzić z letargu słabości i niewiary we własne siły. Już nie tylko robotnicy, ale nawet najbardziej ucziwa część ludzi związanych z klasą panującą przyłączyła się do protestu. Bo chodziło tu nie tylko o wyrównanie dysproporcji w podziale dóbr materialnych, w tych manifestacjach wyrażał się również protest sponiewieranej godności człowieka. W walce klasy robotniczej tkwi nie tylko element ekonomiczny, ale także element moralny. I to jest bardzo ważne; o tym nie wolno zapominać, gdy mówi się o walce klasowej. Słuszność moralna była i jest po stronie klasy robotniczej.

„Bój to będzie ostatni...“ Walka klasy robotniczej o swe wyzwolenie ma specyficzny charakter, jest owym „bojem ostatnim“. Pozytywny program tej walki — socjalizm — oznacza bowiem likwidowanie klas, znie-



sienie różnic ekonomicznych i prawnych w społeczeństwie ludzkim. W tym tkwi głęboki, humanistyczny sens socjalizmu. Socjalizm jest tym ustrojem, który po raz pierwszy w historii postawił przed światem perspektywę prawdziwie ludzkiego życia, perspektywę stworzenia warunków dla maksymalnego rozwoju osobowości człowieka.

Przeciwnicy socjalizmu wskazują na rewolucję, dyktaturę proletariatu, jako na elementy rzekomo przekraczające humanizm tego ustroju. Zwolennicy bliżej nieokreślonego liberalizmu i „czystych rąk“ zapewniali, że skłonni byłiby ewentualnie uznać socjalizm, gdyby nie właśnie owa przemoc, którą stosować musi klasa robotnicza w walce z burżuazją.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że klasa robotnicza posługuje się przemocą w walce o nowy ustrój. Nie ulega jednak również najmniejszej wątpliwości, że walka klas nie została wymyślona przez przywódców proletariatu, wręcz przeciwnie: jest ona

wynikiem obiektywnie istniejących stosunków pomiędzy tymi dwiema klasami. To właśnie burżuazja kierująca życiem gospodarczym zapomniała o najpiękniejszym i najświętszym obowiązku miłości bliźniego. W dzięki i nie znającej żadnych hamulców pogoni za bogactwem, w pogańskim uwielbieniu złotego cielca zamknięta oczy na nędzę pracujących. Dla własnych egoistycznych interesów kazała dzieciom pracować 15 godzin na dobę, dla własnych egoistycznych celów rzuciła wycieńczonych głodem i chorobami robotników do najcięższych i najbardziej niebezpiecznych prac. Dzięki nieustępliwej i tragicznej często walce klasa robotnicza zdołała wywalczyć w niektórych krajach 8 godzin pracy i ochronę pracy nieletnich i kobiet. To jest jednak walka klas, to wywołuje nienawiść...

Miłość bliźniego obowiązuje jednak wszędzie i zawsze, nie można się od niej wymówić, nie można jej przelożyć na czas późniejszy; nie jest katolikiem ten, kto jej nie uznaje i nie

stosuje we współżyciu społecznym. Miłość nie jest świadomością, miłość jest czynem, działaniem.

Trzeba zatem być w życiu społecznym, aby miłować bliźniego, trzeba tkwić głęboko w konkretnej rzeczywistości. A jeśli formy stosunków w tej rzeczywistości z góry zakładają sprzeczności interesów wywołujące nienawiść i walkę klas, jeśli olbrzymia większość społeczeństwa ujarzmiona jest przez egoistyczną, znikomą mniejszość, jeśli istnieją głód i nędza, chociaż wielkość wytworzonych dóbr materialnych pozwala zaspokoić potrzeby wszystkich ludzi, czy wówczas walka podjęta w imieniu tej przytłaczającej większości nie jest walką podjętą w imię miłości bliźniego?

Nie można usunąć walki klasowej przy zachowaniu stosunków, które ją wywołują. Taka jest twarda rzeczywistość. Walka klasowa, dzieląca ludzką na dwa wręgie obozy przetrwać nie może na chwilę, gdy przestanie istnieć klasa, kiedy stosunki spo-

W NUMERZE m. in.:

- T. BIELICKI — Mit o „jasnowłosym nadczłowieku“
- J. ZABŁOCKI — O rozwoju świadomości społecznej katolików
- J. CZAPIŃSKI — Eros i Caritas — Idea realna
- Z. LICHNIAK — Tomik piśnierski
- K. RAIŃOWICZ — Powrót nad jezioro
- K. MORAWSKI — Młode ręce kopalni

leczne opierać się będą nie na opanowaniu i wyzysku jednych klas przez drugie, lecz na braterskiej współpracy wszystkich ludzi. Osiągnąć to można jedynie przez wzmoczoną walkę klasową — rewolucję. Paradoksalne na pozór a przecież prawdziwe twierdzenie, że walkę klasową znieść można drogą wzmocnienia tej walki, jest kamieniem węgielnym zrozumienia rewolucji socjalistycznej.

Chwilowa przemoc olbrzymiej większości nad małą garstką wyzyskiwacza konieczna jest do likwidacji trwałej przemocy uprzywilejowanej mniejszości nad niezliczonymi rzeszami ludności pracującej.

Trzeba także wziąć to pod uwagę, że rewolucja socjalistyczna likwidująca stosunki klasowe wcale nie stawia sobie za cel uniemożliwienie egzystencji członkom byłych klas wyzyskiwaczy; tracą oni jedynie przywileje, jakimi cieszyli się w ustroju kapitalistycznym. Tylko od ich lojalności wobec państwa socjalistycznego zależy, czy znajdą wspólny start społeczny i ekonomiczny wraz z całym społeczeństwem ludzi pracy.

Wielu katolików uważa, że postulat miłości bliźniego realizować można tylko poprzez organizowanie dobroczynności, przez łagodzenie rażących dysproporcji w usytuowaniu materialnym różnych grup społecznych. Uważamy, że postulat miłości bliźniego winien wyrażać się działaniem politycznym. Uważamy, że koncepcja polityczno-ekonomiczna socjalizmu pozostawia o wiele więcej możliwości praktycznego społecznego realizowania nakazu miłości bliźniego niż dobroczynność w ustrojach klasowych. Nie istnieje tu bowiem konieczność ani możliwość wyzysku człowieka przez człowieka, nie istnieje konieczność ani możliwość traktowania pracowników jedynie jako pozycji w kosztach własnych kapitalisty. Socjalizm pozwala na całkowite opanowanie sił wytwórczych społeczeństwa, likwiduje kryzysy gospodarcze, bezrobocie, zapewnia wszystkim pracującym nieprzerwaną pracę i dobrobyt materialny i kulturalny. Dlatego zwycięstwem dla osobowości ludzkiej, dlatego program socjalistyczny jest naszym programem.

BAŻE społeczną budownictwa socjalizmu stanowią klasa robotnicza, siłą kierującą jest partia robotnicza. Klasa robotnicza jest tą grupą społeczną, która zdolna jest konsekwentnie realizować ustrój sprawiedliwości społecznej. Nie posiada ona w warunkach kapitalistycznych żadnej własności, nie ma zatem nic do stracenia poza nędzą i kajdani. Historia wykazała, że programy polityczne postępowych ruchów drobniomieszczańskich i chłopskich nie potrafiły dokonać zasadniczych zmian strukturalnych w ustroju kapitalistycznym, nie zdobyły się one na wypracowanie ostatecznych konsekwencji z wyznawanych poglądów. Co więcej, opanowane często przez ludzi związa-

(Dokończenie na str. 2)

Reforma 3 maja 1791 r.

„Czy bezpieczniej dopuścić jest rewolucję szlachecką czy pospólstwa?”

Trzeba, aby konstytucja narodowa uformowała charakter szczególny i własny narodowi naszemu.”

(Hugo Kolltataj)

USTAWA z dnia 3 maja 1791 r. łącznie z poprzednio uchwalonym, a włączonym do konstytucji prawem o miastach królewskich z dnia 18 kwietnia 1791 r. oraz z zarządzeniem wzajemnym obojga narodów z dnia 22 października 1791 r. oraz z ustawami o sejmach i sejmikach stanowiącymi fundament prawny nowego ustroju Rzeczypospolitej.

Nie miejsce tu na referowanie zaciętego przebiegu walki o tę pierwszą prawdziwą polską konstytucję, która była wyrazem właściwego pojmowania przez jej twórców środków zmierzających do utrzymania niepodległości narodowej. Marks zdecydowanie stawia konstytucję majową w rzędzie najbardziej postępowych tradycji polskich, choć wyraźnie określa ją nie jako „rewolucję”, lecz tylko jako „pierwszą próbę reformy”. Próba ta jednak godziła niewątpliwie w „feudalne barbarzyństwo” panujące wówczas w Europie wschodniej.

W ciągu XVIII stulecia Polska traciła stopniowo swoją niezawisłość. Stara Rzeczpospolita szlachecka o słabych więzaniach wewnętrznych ujawniała swoje zaoferowanie wobec powstających wokół nowożytnych państw scentralizowanych Calokształt warunków wynikających z ekonomicznej i politycznej przemocy klasowej szlachty i magnatów na początku XVIII w., przy ogólnym osłabieniu rynku wewnętrznego, przy barbarzyńskich formach wyzysku chłopów tkwiącego w kaidanach pańszczyzny — spowodował silny upadek miast polskich i rolnictwa.

Polska drugiej połowy XVIII wieku nie była scentralizowanym państwem nowożytnym, jakie formowały się wówczas na terenie Europy. Była raczej — jak to określił Marks — konglomeratem feudalnych prowincji. Zabrakło zatem w naszej przeszłości niezbędnego etapu w rozwoju państw narodowych — etapu monarchii absolutnej, która by prowadziła walkę o jedność polityczno-ustrojową, zwalczając i tępąc reprezentantów feudalnego rozbięcia — rosnących w potęgę wielkich magnatów. Zemiściło się to na późniejszym rozwoju Polski: magnateria przy pomocy sąsiadów rozszalała zdecentralizowaną i słabą władzę państwową.

Na podłożu Oświecenia i ruchu reformatorskiego, pod koniec XVIII w. odradza się kraj ekonomicznie i kulturalnie. Działająca podczas sejmów czteroletniego „Kuznica Kolltatajowska” staje się bojowym, o cechach jakobińskich, przedstawicielstwem ideologicznym warszawskiej demokracji miejskiej. Od tam szlachty reprezentującej szlachecki postęp gospodarczy, magnaci-reformatorzy oraz oświeceni mieszczaństwo reprezentują również i postęp polityczny. Wśród tych kół idee zachodnio-europejskiego postępu, szczególnie idee burżuazji francuskiej stają się popularne, gdyż odpowiadają potrzebom tych grup w Polsce, które stały w opozycji wobec feudalnego ustroju. Teoretyczne postulaty nowego burżuazyjnego społeczeństwa, które wkrótce miały się ucieleścić w rewolucji francuskiej, stanowią punkt wyjścia dla krytyki polskiego zacofania feudalnego. Szczególnie, jak to trafnie zauważył Lelewel w 1839 r., dwaj pisarze wywarli na los Polski niezmierny wpływ: Jan Jakób Rousseau („Considerations sur le gouvernement de Pologne”, 1782) oraz książę Gabriel Mably („Du gouvernement et des lois de la Pologne”, 1781). Elementy postępowe zgrupowane w Kuznicy, a dążące do konsolidacji gospodarczej i politycznej podchwytywały nowe pojmowanie narodu i jego interesów, które wówczas dojrzało we Francji. To pojęcie narodu, jednoczącego w sobie wszystkie stany i warstwy, było nowym i postępowym zjawiskiem ideologicznym.

Główna teza partii reform w zmaganiach sejmów czteroletnich głosiła, że upadek Polski jest rezultatem jej własnego, wewnętrznego zacofania, a więc ponownego rozbioru da się uniknąć jedynie na drodze reform polityczno-społecznych i ustrojowych. W wyniku reformizmu, bo nie rewolucji — miała powstać taka państwowość, która by sprzyjała kształtowaniu się nowożytnego narodu polskiego. Państwowość, która by mogła usunąć groźny cień niebezpieczeństwa rozbiorowego.

Sejm czteroletni uwięziony został Konstytucją 3 maja, w którym to dniu ulica warszawska poparła uchwalenie konstytucji. Konstytucja nie rozwiązała żadnej z palących kwestii społecznych, a przede wszystkim kwestii chłopskiej. Poprzestala w art. IV na ogólnikowej deklaracji opieki państwa nad chłopem i nie podważała nawet pańszczyźnianych warunków jego bytu. Pomimo to była ona bezspornie zjawiskiem postępowym. Współcześni i następni pokolenia odczuli ją jako przewrót rewolucyjny, gdy w istocie stanowiła próbę przezwyciężenia polskiego feudalnego rozproszenia i niemocy, tworząc zrebę scentralizowanego państwa. Uznawała znaczenie mieszczaństwa polskiego, jako ważnego czynnika ekonomiczno-politycznego, chociaż nie zdobyła się na zrównanie mieszczan ze szlachtą.

Gończy oddech Rewolucji Francuskiej powiał przez feudalny wschód Europy, jako forpaczka nadchodzącego nowego wieku historii. Toteż we wschodniej Europie wszystkie te siły, którym zagrażały idee rewolucji francuskiej, poczytywały dzieło Konstytucji 3 maja za wielkie dla siebie niebezpieczeństwo. Cyniczny trzeci rozbiór Polski był walką feudalnej reakcji przeciwko widmu postępu, jakim zabyła Konstytucja.

Konstytucja 3 maja ma swą szczególną historię, jeśli chodzi o wpływ na myśl polityczną narodu polskiego w okresie stu lat niewoli. Stała się ona w XIX w. orężem złowrogiej Ideologii „narodu szlacheckiego”, jeśli nazwać tu to wszystko co miało stać się zacofaniem i kontrrewolucyjnym w powstaniu listopadowym, później na emigracji, a „białe” w powstaniu styczniowym, zamykającym erę feudalizmu i pańszczyzny w Polsce. Joachim Lelewel, przyczyniając się w dużej mierze do zwalczania tego błędnego stanowiska, nie wahał się przed krytyką takiego nadużywania Konstytucji, bo „w rzeczy samej, któż by dziś dobrą wiarą zamierzał jej zupełne wskrzeszenie, jako mogące zadość uczynić światu i pojęciom wieku”.

Patrząc dziś na Konstytucję bez fałszywej Idealizacji przeszłości, która ślizga się po powierzchni historii, i bez uproszczeń moralizatorskich, wszystkie ówczesne dążenia polityczne musimy oceniać z punktu widzenia ówczesnego układu sił społecznych. Dlatego w Konstytucji, tej „polskiej rewolucji”, widzimy kompromis z zacofaną stanową warstwą rządzącą i kompromis z gromadą starych reakcyjnych mocarstw europejskich, drżących na myśl drugiego pożaru na miarę Bastylii. Autorzy Konstytucji chcą pozostać w zgodzie z dotychczasową tradycją. Tak jest np. w II art. zatytułowanym znanym „Szlachta Ziemi”. W istocie, wszystko to, co pozytywne — grupa elitarna, szlachecka pragnie zdyskontować na dobro swego stanu. To też Powstanie Narodowe 1794 r., chociaż oprze się w całości na zdobycy 3 maja 1791 r., rozzerwie ciasne już ramy Konstytucji. Mimo to powie w pamiętnikach adiutanta Kościuszki Julian Niemcewicz: „wojna Polski w obronie 3 maja i swej niepodległości okazała się ozięblą w porównaniu do żywotnej kraju potrzeby; nie była powstaniem narodu, nie miała cechy wojny świętej, narodowej, powszechnej...”

Uchwalenie Konstytucji majowej i próba wprowadzenia jej w życie uznane zostały przez Branickich i ich drobnoszlacheckich klientów za największą klęskę, dla której odrobienia należało dokonać pełnej mobilizacji i uciec się do krwawej rozprawy, by dzieło Sejmu Czteroletniego rozbić. W obronie Konstytucji stanął obóz patriotyczny, opierający się na ludowych masach miejskich i sprzyjającym choć biernym chłopstwie.

Łącząc na sto z górą lat hasło niepodległości państwowej z pierwszą próbą reformy, Konstytucja stała się w obliczu Europy wyrazem dojrzałości politycznej Polski w chwili jej wiekowego upadku.

T. Z.

Tadeusz BIELICKI

Mit o „jasnowłosym nadczłowieku”

ROK bieżący jest rocznicą jednego z najbardziej brzemiennych w skutki, a zarazem najbardziej ponurych wydarzeń, jakie zna historia nauki. Dokładnie 100 lat temu, wiosną 1853, ukazało się na półkach księgarń paryskich czterotomowe dzieło pewnego małego jeszcze wówczas znano go autora — dzieło, które zrazu nie zwróciło na siebie większej uwagi. A jednak — książka ta miała w przyszłości straszliwie zaważyć na losach Europy, a rola, którą jej do o. degranja przeznaczyła historia, miała się okazać rolą wyjątkowo krwawą i ponurą. Nie domyślał się jeszcze tego wtedy nikt ze współczesnych; nie domyślał się zapewne i sam autor — trzydziestokoletni francuski pod różnik i dyplomata, hrabia Artur de Gobineau. Dzieło jego nosiło tytuł: „Traktat o nierówności ras ludzkich”, a owym epokowym „wyznawcą”, którego w nim dokonano, była teoria r a s i z m u. Teoria, w imię której za lat kilkadziesiąt miało do. konać najpotworniejszych mordów, jakie zna historia.

CO TO JEST RASIZM?

MYŚL przewodnią doktryny rasistowskiej da się krótko sformułować w następujący sposób:

Poszczególne rasy ludzkie są „nie-równowartościowe” pod względem biologicznym i społecznym; istnieją „rasy wyższe”, hojniej wyposażone przez naturę, a zatem z natury rze czy przeznaczone na „panów” — i r a s y „niższe”, „gorsze”, rasy niewolników. Ten oto pogląd stanowi właśnie istotę rasizmu.

Nie koniec jednak na tym. Ani twórca rasizmu, Gobineau, ani jego kontynuatorzy nie mogli poprzestać na ogólnikowym stwierdzeniu nierówności ras; po postawieniu bowiem tej tezy narzucało się natychmiast pytanie: która to, konkretnie, z żyjących obecnie grup ludzkich jest ową „rasą panów”? To pytanie domagało się odpowiedzi, i to odpowiedzi podbudowanej możliwie przez konywacyjnymi argumentami z antropologii, psychologii, etnologii, historii itd. Otóż odpowiedź tę dał już sam Gobineau; powtarzali ją za nim z niewielkimi zmianami wszyscy prawie jego ideowi następcy — tak że na przestrzeni 100 lat przewija się w dziejach rasizmu niezmiennie i u parcie ten sam motyw:

Rasy kolorowe są rasami niewolników; najwyższą z istniejących ras ludzkich jest b i a ł a odmiana człowieka, a w obrębie tej odmiany prym dźwierz „najczystszy” i najdoskonalszy jej przedstawiciel — wy sokorosły, jasnowłosy i niebieskooki tzw. typ nordyczny (o którym bliżej będzie mowa za chwilę). Ten pogląd złośliwie, lecz trafnie czechrzony nianem „manii nordyckiej” podniesiono do godności dogmatu — i on właśnie jest ze wszystkich pomysłów rasistowskich rzeczą najszerszej znana. Warto nawiasem dodać, że szcze gólną antypatią żywił Gobineau do S ł o w i a n; pisał o nich z pogardą: „jest to grzaskie bagno, w którym toną wyższe narody”. I ta opinia również urosła z czasem, zwłaszcza w rasizmie niemieckim, do rozmiarów zdecydowanie już psycho patycznej „manii antysłowiańskiej”, której skutki mieliśmy okazję odczuć na własnej skórze nie tak dawno temu.

Idee Gobineau nie od razu znalazły popularność. Jak to często bywa w historii, musiały się one „odleżeć” jakiś czas w oczekiwaniu na sprzyjający moment historyczny. Moment taki nadszedł pod koniec wieku XIX, kiedy to idee te przeniknęły na teren N i e m c y. Wtedy sytuacja zmieniła się raptownie. Rasizm trafił bowiem w Niemczech na szczególnie podatny do rozwoju grunt szybko rosnącego kapitalizmu, a po-

nadto — co ważne — na bardzo odpowiedni klimat moralny, stworzony właśnie świeżo przez filozofię Nietzschego. Nic też dziwnego, że Niemcy stali się w krótkim czasie ośrodkiem promieniowania idei rasistowskich; tam nadano rasizmowi formę najbardziej pełną, wykończono ją i „naukową” — a wreszcie zrobiono zeń oficjalnie uświęconą i obowiązującą ideologię państwową. Dokonał tego po pierwszej wojnie światowej h i t l e r o w c y.

„JASNOWŁOSY NADCZŁOWIEK”

JEST rzeczą wiele znamienną i wartą podkreślenia, że rasizm niemiecki tworzony był nie przez fachowców-antropologów, lecz przez laików i dyletantów, nie posiadających przyrodniczego wykształcenia, ludzi, którzy trafili do antropologii przypadkowo, z zupełnie innych dziedzin. Takimi właśnie dyletantami byli wszyscy czołowi teoretycy rasizmu w Niemczech: Ammon (inżynier),

Günther (filolog) i Rosenberg (prawnik).

Ta sytuacja wycisnęła wyraźną piętno na całej „teorii”. W rasizmie niemieckim uderza przede wszystkim niesłychany zamęt i bałagan pojęciowy, nierzetelność w rozumowaniach, mętność i niechlujstwo terminologiczne. W rezultacie cała doktryna nie ma właściwie nawet pozorów jakiejś poprawnie pod względem formalnym skonstruowanej teorii przyrodniczej, w której by się np. przestrzegano jednoznaczności używanych terminów — lecz stanowi stek typowo demagogicznych frazesów, które są wprowadzone często, przyznać to trzeba, formułowane w sposób dość błyskotliwy i sugestywny i mogą (zwłaszcza w ustach dobrego mówcy) na odpowiednio psychicznie nastawiony tłum oddziaływać silnie uczuciowo — nie zmienia to jednak faktu, że są to na ogół frazesy, kompletnie wyprane z treści.

(Ciąg daleczy na str. 9).

Dzień jedności i solidarności

(Dokończenie ze str. 1)

nych z wielkim kapitałem stały się elementem kontrrewolucyjnym. Wy-starczy przypomnieć rolę partii socjaldemokratycznych i chłopskich w rewolucji niemieckiej po pierwszej wojnie światowej albo rolę wielu podobnych ruchów dziś na zachodzie Europy. Jedynie w sojuszu z klasą robotniczą i pod jej przywództwem grupy te mogą odegrać pozytywną rolę w walce z kapitalizmem.

Polityczną organizacją klasy robotniczej jest partia marksistowska. Dla katolików biorących współodpowiedzialność za dokonującą się rewolucję społeczną nie jest rzeczą obojętną, że rewolucją kierują ludzie o odmiennych założeniach światopoglądowych. Akceptując linię polityczną marksistów, uważając ją za wspólną, katolicy współwalczyli o realizację socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego podkreślają równocześnie bardzo wyraźnie, że nie wyrzekają się swych poglądów na istotę i cel człowieka.

Zbyt mało było katolików biorących udział w walce proletariatu o swe wyzwolenie, czyż więc należy się dziwić, że ludzie o odmiennym od naszego światopoglądzie wzięli w swe ręce kierownictwo rewolucją?

Tylko zaś od wewnątrz socjalizmu możliwe jest oddziaływanie na nowe stosunki i wywalczenie perspektyw rozwojowych dla własnego światopoglądu.

Praktyka wykazuje, że pomimo trudności i konfliktów możliwe jest współistnienie dwóch światopoglądów w państwie socjalistycznym. Jesteśmy przekonani, że katolicyzm może stać się czynnikiem wielce konstruktywnym w socjalizmie. W systemie gospodarczym, gdzie podstawą działania gospodarczego będzie nie egoistyczny interes jednostki, lecz wewnętrzna potrzeba każdego człowieka, chrześcijańskie zasady moralne oparte o sankcje nadprzyrodzone odegrać mogą zasadniczą rolę w kształtowaniu świadomości wierzących obywateli socjalistycznego społeczeństwa.

Uwzględniając słuszność moralną i konieczność dziejową socjalizmu, jak również perspektywę działalności Kościoła Katolickiego w nowych stosunkach uważamy, że miejsce nasze jest w obozie socjalistycznym.

Podstawowym nakazem wszystkich ludzi walczących o socjalizm jest jedność całego obozu socjalizmu pod przewodnictwem Związku Radzieckiego. Ten fakt należy specjalnie podkreślić. Społeczeństwa nasze zdobywały się na heroiczny wysiłek zbudowania podstaw materialnych i

politycznych lepszego życia — dlatego też umacnianie tych zdobyczy, umacnianie jedności całego socjalistycznego obozu jest wyrazem wierności wobec tamtych walk i wobec tamtych wysiłków, jest obowiązkiem każdego, kto walczy o socjalizm.

Historia uczyniła krok naprzód, nie można wracać... Raz zdobytych pozycji należy wszelkimi siłami bronić pod groźbą powrotu kapitalizmu i fašyzmu. Kapitalizm współczesny nie jest ustrojem liberalnym: pod względem dem gospodarczym jest panowaniem i rozszerzaniem wpływów monopolistycznej oligarchii finansowej; pod względem politycznym wykazuje wyraźną tendencję faszyzacji aparatów państwowych. Obrona socjalizmu jest obroną przed faszyzmem. Tylko jedność wszystkich postępowych sił społecznych może stanowić realny czynnik zdolny pokrzyżować zbrodnicze plany faszyzującej burżuazji. Kiedy chodzi o tak wielką stawkę, nie może być różnic między ludźmi o różnych kolorach skóry, o różnych światopoglądach i różnych językach. Różnice kultury i światopoglądu niechaj pozostaną różnicami nie naruszającymi jedności politycznej w kwestii obchodzącej wszystkich.

Są bowiem tylko dwie drogi: Jest droga bomby atomowej i dżumy oraz droga pokojowego współżycia wszystkich ludzi dobrej woli, pokojowego współistnienia i pokojowej rywalizacji różnych ustrojów — wybieramy pokój; jest droga wyzysku, poniżenia i bezrobocia i droga twórczej pracy dla dobrobytu całego społeczeństwa — wybieramy twórczą pracę; jest droga podboju i wyzysku narodów kolonialnych i zależnych oraz droga braterskiej współpracy wszystkich narodów — wybieramy współpracę wolnych narodów; jest droga burżuazji do imperializmu i droga proletariatu do socjalizmu — wybieramy socjalizm.

Dlatego postępowo myślący katolicy całego świata wyjdą w dniu Pierwszego Maja na ulice, aby wespół z wszystkimi, którym droga jest przyszłość pracujących, zmanifestować jedność, aby publicznie wyrazić stanowczą wolę walki o zachowanie pokoju, o niezawisłość narodów, o władzę dla ludu.

Naród Polski budujący lepsze jutro znajdzie w dniu Pierwszym Maja jeszcze jedną okazję do podsumowania osiągnięć osmioletniego wysiłku mas pracujących, do wykazania zwartości i solidarności całego społeczeństwa wokół zadań Frontu Narodowego.

Zygmunt Drozdek

Janusz ZABŁOCKI

O rozwoju świadomości społecznej katolików

PRZEMIANY, jakie zaszły w świadomości ogromnej większości naszego narodu w ciągu ostatnich kilku lat, nie pozostały bez wpływu również na społeczność katolicką w Polsce. W umysłowości katolików polskich daje się zauważyć — analogicznie do procesu zachodzącego w skali ogólnonarodowej — proces stopniowego przełamania oporów wobec przyniesionych przez rewolucję nowych form społecznych, proces prostowania i usuwania błędnych wyobrażeń i nieporozumień, stopniowe przekonywanie się do poszczególnych osiągnięć władzy ludowej i zbliżanie się do jej linii politycznej. „Twórcze fakty budownictwa socjalistycznego — stwierdza Bolesław Piasecki w artykule „Dwie drogi katolicyzmu“ — bezsporne osiągnięcia ogólnonarodowe państwa ludowego dokonały zasadniczych zmian w umysłowości katolików. Na ciekawie opinii katolików pracujących w całym zakresie działalności państwa w zlikwidował zachwalność i krzykliwość elementów reakcyjnych w Kościele katolickim w Polsce“¹⁾. Wyrazem dokonujących się przemian w świadomości społecznej katolików jest ich rosnący udział we Frontie Narodowym oraz działalności ruchu obrońców pokoju.

Te procesy są niewątpliwie poważnym krokiem naprzód zarówno w kierunku zaktywizowania sił katolickich w służbie ogólnonarodowym interesom, jak i w kierunku tworzenia podstaw dla właściwego ustawienia Kościoła i światopoglądu katolickiego w nowej rzeczywistości społecznej. Te procesy potwierdzają słuszność diagnozy stawianej przed laty przez społecznie postępowe żywioły spośród katolików polskich, potwierdzają słuszność ich przewidywań i ich linii ideowo politycznej tak namiętne wówczas wielokrotnie zwalczanej.

Ale nie można w żadnym wypadku uważać procesu przemian w świadomości społecznej katolików za ukończony ani też kontentować się stanem już osiągniętym, popadając w rastrój samozadowolenia z osiągniętych rezultatów. Dotychczasowe wyniki pracy nad przekształcaniem świadomości społecznej katolików są jeszcze niewspółmierne do stojących na tym odcinku zadań. Jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia zarówno w dziedzinie upowszechnienia tych procesów we wszystkich środowiskach

DOKUMENTACJA PRASOWA

Nakładem RSW „PRASA“ ukazuje się co tydzień wydawnictwo DOKUMENTACJA PRASOWA, które podaje najważniejsze materiały z prasy polskiej i zagranicznej, ze szczególnym uwzględnieniem radzieckiej.

Po przeprowadzeniu zmian w sposobie redagowania, wiadomości są obecnie ujmowane w takim streszczeniu, która pozwala na wykorzystanie ich bez konieczności sięgania do źródła. Dokumenty podawane są w pełnym brzmieniu. Kluczem do odszukania wiadomości jest szczegółowy SKOROWIDZ.

DOKUMENTACJA PRASOWA stanowi poważną pomoc w pracy dla publicystów, bibliofilów, działaczy politycznych i społecznych, referatów prasowych itp.

Komplet za rok 1952 jest do nabycia w administracji pisma w Warszawie, przy ul. Em. Plater 10.

Komunikat Redakcji

P. Mateusz Żurawiec proszony jest o osobiste skontaktowanie się z redakcją za zwrotem kosztów podróży. Gdyby zajęcia uniemożliwiały p. Żurawcowi przybycie do redakcji w godzinach urzędowania, prosimy o przyjazd w dniu świątecznym po uprzednim podaniu terminu telegraficznie. Czekamy z zainteresowaniem na dalsze materiały

Redakcja „Dziś i Jutro“

katolickich, jak i w dziedzinie pogłębienia tych procesów, nadawania im większej dojrzałości.

„Jestem pewien, że w epoce robienia wielkich porządków — formułował w „Liście otwartym“ Dominik Horodyński — trzeba być szczególnie uczulonym na to, co się robi, że patrzeć trzeba nie na szczegóły, ale na kierunek i cel wywołanych zdarzeń, że trzeba wyraźnie odpowiedzieć sobie na pytanie, który cel jest lepszy i sprawiedliwszy, po której stronie buduje się nowy, lepszy świat“.

Wydaje się, że w żadnym razie nie wolno uważać za stan wystarczający samych objawów godzenia się na osiągnięcia polityki rządu ludowego w poszczególnych dziedzinach życia. Trzeba pracować nad tym, aby stało się dla katolików zrozumiałe dzięki czemu te osiągnięcia były możliwe, aby zrozumiałe się stało, że osiągnięcia te nie byłyby możliwe, gdyby nie rewolucja socjalistyczna. Trzeba pracować nad tym, by w motywacji postawy, zajmowanej przez katolików, punkt ciężkości przenieść z ustosunkowania się do konkretnych osiągnięć Polski Ludowej na zasadnicze ustosunkowanie się do ustroju społeczno-gospodarczego sił klasowych i ruchu politycznego, które te osiągnięcia uwarunkowały. Trzeba wytworzyć przekonanie, że warunkiem takich osiągnięć bezspornych, jak likwidacja bezrobocia, nie spotykany rozmach rozbudowy gospodarczej, upowszechnienie kultury, rozwój oświaty, służby zdrowia i urzędów społecznych są takie czynniki jak uspołecznienie środków produkcji, jak władza klasy robotniczej reprezentowanej przez partię robotniczą, jak sojusz i współpraca z Z.S.R.R. Ze postawa godzenia się na skutki jeśli nie ma być nieszczerą i niekonsekwentną mu si być również przy zachowaniu świadomości różnic światopoglądowych godzeniem się na przyczyny, dzięki którym te skutki zostały wywołane. Ze nie poprzestając na ustosunkowaniu się taktycznym, trzeba ustosunkować się w sposób zasadniczy ideologicznie do socjalizmu.

★

Ten postulat może napotkać w pewnych środowiskach katolickich opory. Wśród części katolików polskich panuje nie zawsze wypowiedziany pogląd jakoby postawa „realizmu politycznego“ w stosunku do dziejących się przemian była ostateczną dopuszczalną granicą współpracy; wszystko co poza nią wykracza jest już niedopuszczalnym kompromisem.

Nie można mieć za złe nikomu, że zgodnie z osiągniętym stanem świadomości społecznej motywuje swój współudział w budownictwie socjalistycznym i polityce realizowanej przez rząd „realizmem politycznym“. Nie można też mieć za złe nikomu, że postępek jego świadomości społecznej nie jest dość szybki i że nie widzi jeszcze ostatecznych ideologicznych konsekwencji. Natomiast można i trzeba mieć za złe, jeżeli „realizm polityczny“ jako motywację osobistej postawy wobec nowej rzeczywistości usiłuje się uczynić motywacją postawy wszystkich katolików wobec nowej rzeczywistości, jeżeli hasło „realizmu politycznego“ usiłuje się przeciwstawić dalszemu rozwojowi świadomości społecznej, przede wszystkim w stosunku do tych młodszych i wolniejszych od obciążeń klasowych środowisk katolików, które w tym rozwoju przodują.

Tendencja do zatrzymywania świadomości społecznej katolików na pozycjach „realizmu politycznego“, na pozycjach taktycznego a nie ideologicznego stosunku do socjalizmu, jest wytworem mieszczańskiego sposobu myślenia politycznego. Ostrą i niezwykle trafną analizę takich tendencji dokonał niedawno na łamach „Dziś i Jutro“ Ignacy Rutkiewicz,

pisząc o zjawisku „taktycznego sojusznika rewolucji socjalistycznej“. „Współpraca z obozem rewolucji rozumiana jest jako „normalny“ sojusz partyjno-polityczny ze zwyciężającym ugrupowaniem politycznym“... Stawia się sprawę socjalizmu, socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego i społeczno-politycznego na równym poziomie i dyskutuje na równych prawach co program jakiegokolwiek mieszczańskiej partii radykalnej... Oczywiście taka postawa ideologiczna rodzi własny język polityczny. Mówi się o sojuszu z obozem rewolucji, nie mówi o udziale w rewolucji, mówi o lojalności wobec państwa, nie mówi o wewnętrznej merytorycznej celowości tej lojalności, która nie może być celem samym w sobie, a powinna wypływać ze zrozumienia faktu, że ten właśnie rząd realizuje generalnie słuszną linię rozwoju historycznego... Dzieło rewolucji socjalistycznej okazywa się nie jako realizację obiektywnego interesu całego społeczeństwa, które pozbyło się pasożytniczych klas fabrykantów, bankierów i ziemianników, ale jako partykularny interes pewnej organizacji politycznej. Wów czas przynosi się obozowi rewolucji swoją współpracę tylko o tyle, o ile da to korzyści osobiste albo co najmniej uchroni od gorszych niepowodzeń.

Wychowankowie takiej szkoły myślenia ideologicznego ujmują rozwój rewolucji socjalistycznej w świecie jako po prostu funkcję siły i dynamizmu politycznego Związku Radzieckiego i partii komunistycznych, nie zastanawiając się, gdzie tkwią społeczne podstawy tego dynamizmu. Jak gdyby o tej sile nie stanowiło wyrażenia obiektywnej tendencji rozwoju społecznego na obecnym etapie historii. Wzrost świadomości i siły politycznej mas ludowych jasnowo odsłania głębie bokie zaplecze społeczne i gospodarcze sukcesów obozu socjalizmu, kryzys struktur kapitalistycznych i konieczność zastąpienia ich nowymi formami współżycia społecznego“²⁾.

Starca postawa „realizmu politycznego“, zakładająca przyłączenie się do strony w danej chwili silniejszej, zakładająca bierność i wyczekiwanie w chwilach krytycznych dla rewolucji — taka postawa nie może dziś wystarczyć, ani nie może być pociągająca dla młodych sił katolicyzmu polskiego, dla tych wszystkich, którzy pragną, aby działanie ich służyło sprawie moralnie słusznej i którzy ten ładunek moralny, godny tego, by mu poświęcić swoje siły, widzą w ogarniającej cały glob rewolucji pracujących, uciskanych i krzywdzonych.

Był okres, w którym polskim katolikom, stojącym wtedy na rozdrożu okazywano postać margrabiego Wieleńskiego, stuprocentowego reakcyjnisty społecznego i kolaboranta z rządem carskim, jako rzecznika zdrowego „realizmu politycznego“ i przykład do naśladowania. Cofanie się do tego „ideału“, którym jego wielbieli przed laty — jak to ktoś słusznie zauważył — „usiłowali umotywić przed sobą samym i przed swymi dotychczasowymi czytelnikami wyrzeczenie się walki przeciw Polsce Ludowej“ nie może w żadnym razie uchodzić za wyraz poglądów wszystkich katolików polskich, całej społeczności katolickiej. W żadnym zaś razie nie wystarcza młodym, społecznie postępowym siłom spośród katolików polskich, które pragną zająć postawę wobec świata opartą o głęboką motywację ideologiczną. Ludzie ci mają dzisiaj inne, znacznie bardziej pociągające sylwetki za ideał. I jeżeli manifestują w dniu Pierwszego Maja wnieśli w tłumy wiadomości pracującej, to nie dla „realizmu politycznego“, nie dla rachuby politycznego dyskonta, ale dlatego, że kołyszają się nad tłumem czerwone sztandary uznali za symbol sprawy, która

jest ich sprawą, sprawą, która jest dzisiaj natchnieniem wszystkich uczuć w ich ludzi, walczących o lepsze życie dla człowieka na całym świecie.

★

Nie wystarczy jednak dążenie, by zapewnić świadomości społecznej katolików rozwój, trzeba dążyć również, aby ten rozwój odbywał się w kierunku słusznym. Dlatego trzeba umieć odróżniać postawę prawdziwie socjalistyczną od postawy socjalistycznego frazesu. Ta ostatnia ma miejsce wtedy, gdy stara mentalność w człowieku nie jest jeszcze w pełni przeżyta, gdy więc „socjalizm“ staje się frazesem pokrywającym obcą ideologiczną treść.

Mogą istnieć rozmaite postawy, będące wynikiem współistnienia w człowieku nowych, jeszcze nie dość przeżytych i przemyślanych zasad w zestawieniu z dawnymi nawykami myślenia. Zatrzymamy się na paru postawach najczęściej spotykanych.

Katolikom, u których procesowi dykalizacji świadomości społecznej nie towarzyszy w równej mierze proces porządkowania własnego światopoglądu i wyraźnego rozróżniania w nim tego, co jest religią od tego, co jest historią, tego, co jest Boskie od tego, co jest cesarskie, grozić może postawa, którą dałoby się nazwać „socjalizmem kościelnym“. Jest to integralizm skojarzony z lewicowym frazesem. Sto lat temu Leon hr. Rzewuski, jeden z pierwszych pisarzy socjalistycznych w Polsce głosił, że socjalizm jest nieczym innym, jak „nauką zastosowania Ewangelii do potrzeb ziemskich“. Pouczał on współczesnych, że Pan Bóg życzy sobie zwycięstwa socjalizmu, ponieważ — jak prawdziwy robotnik — po sześciu dniach pracy nad dziełem Stworzenia siódmego dnia wypoczywał. Kozmacy mleczni bracia Rzewuskiego, zablakani w epoce stalinowskiej, wyrażają tę myśl trochę inaczej, treść jej sprwadza się jednak do tego samego: gdyby wskazania Ewangelii na przestrzeni XIX wieku zostały spełnione, musiałyby z całą pewnością doprowadzić do stworzenia już wtedy socjalizmu, ale socjalizmu innego, „katolickiego“, dając Kościołowi tę funkcję w świecie, którą dzisiaj spełnia marksizm.

Rozumowanie pojęciami teologicznymi jest dla świadomego katolika rzeczą niezbędną, ale przenoszenie ich na płaszczyznę historyczną w miejsce obiektywnych, własnych praw, jakie rządzą historią, niczego nie wyjaśnia, a wszystko miesza i zaciemnia, szkodzić zarówno rozumieniu

istoty Kościoła, jak i rozumieniu istoty rewolucji. Nie może też w żadnym wypadku świadczyć o wyższej randze katolicyzmu autora, świadczy natomiast zawsze o jego światopoglądowym i politycznym mętniactwie. Usadniony jest krytycyzm co do stosunku do czynników kościelnych wobec sprawy wyzwolenia społecznego. Natomiast nie można mieć pretensji do Kościoła, że nie stał się w porę partią rewolucyjną ani do papieża, że nie zdobył się na stworzenie państwa socjalistycznego wcześniej, niż Lenin, co — poza innymi korzyściami — miałyby jeszcze i tę, że uchronić miało głosicieli tej teorii od konieczności życia w demokracji ludowej.

Postawa „socjalizmu kościelnego“ jest pełna wewnętrznych sprzeczności, wynikających z braku uporządkowania różnych płaszczyzn i wyodrębnienia ich. Okazuje ona swą słabość zwłaszcza tam, gdzie Kościół z racji historycznych uwarunkowań jego doczesnej struktury staje w konflikcie z aktualnie istniejącym kierownictwem rewolucji. Pomieszczenie cesarskiego z boskim, brak jasnej świadomości, gdzie jest dziedzina swobodnego wyboru historycznego dla katolika, a gdzie się zaczyna dziedzina obowiązujących powszechnie orzeczeń dogmatycznych, mogą stać się przyczyną niesłychanego pogmatwania pojęć i błędów w praktycznej postawie.

Może istnieć również inna postawa, w której powierzchownie przyjęty socjalizm współistnieje z nieprzeżywanymi do końca obciążeniami nacjonalistycznymi. Ludzie myślący w ten sposób przyjmują socjalizm dlatego, że stwarza on ich zdaniem lepsze warunki dla narodu niż inne ustroje. Jest to słuszne, jeżeli tylko nie czyni się z tego jedynej motywacji postawy socjalistycznej. Jeżeli bowiem tylko egoistyczny interes narodu, pojmanego najczęściej w sposób ahistoryczny, ma uzasadniać przyjęcie socjalizmu, ten ostatni zostaje sprowadzony do roli zwykłego środka politycznego, dobrego tak długo, dopóki nie znajdzie się „lepszy“. Nie pozwala to zrozumieć istoty socjalizmu, który jest zjawiskiem tak samo międzynarodowym, jak gospodarka kapitalistyczna, na gruncie której się zrodził. Nie pozwala w pełni zrozumieć ani internacjonalizmu — proletariackiej ideologii przyjaźni narodów, ani konsekwencji faktu, że Polska Ludowa jest jednym z ogniw światowego obozu pokoju i socjalizmu.

(Dokończenie na str. 10)

J. M. KONONOWICZ

W pochodzie majowym

Wiem: nieufnie w oczy mi patrzysz i z wahaniem podajesz dłoń — Drogi nasze przecięli na krzyż, choć z tych samych byliśmy stron.

Trzeba było nocy koszarnej i pioruna z brunatnych burz, by drogowskaz miał jedno ramie i by jedną drogą nas wiódł.

Ja tu mówię o wspólnych sprawach, o tych, którym na imię: chleb, sprawiedliwość, pokój i praca i ojczyzny odrzański brzeg.

Wiem, żeś nigdy nie zdradził ZIEMI i zdobywasz ją dzień za dniem — Wytrzymałem twoje spojrzenie: Idę z tobą. I dobrze wiem,

że tę samą prawdę się czyta alfabetem walki i ksiąg: wola rzeźbi ziemskie oblicze, gdy oskardelem uskrzydli dzień.

★

Po majowym niebie się toczy srebrny obłok gołębich piór — Możesz ulniej patrzeć mi w oczy, choć o NIEBO toczymy spór...

Stefan SZCZUPACZOW

Wiersz bez tytułu

Na sobie ma kraciastą bluzkę
idzie, gałązkę skubie w ustach
i czuje smak jej, cierpkość świeżą,
wiosna czeremchą kraj ośnieża

i na dziewczynę kwiatem białym
jak sytkim, wonnym spada śniegiem,
ona zbyt lekko się ubrała,
dreszczykiem po niej chłód przebiega.

To z górki ścieżką biegnie szparko,
to się zagubi wśród listowia,
tego spleciony gruby warkocz
jak wianek leży na jej głowie.

Spotkaliśmy się oko w oko
w zielonej ciszy na bezludziu —
może stąd płynie ten niepokój
i żal, co nagle się obudził?

Dlaczego? Trudne to pytanie!
Że skroń siwizna mi pokryła
i że dziewczyna przy spotkaniu
oczy spokojnie odwróciła?

Chyba dlatego mówiąc o tym
czuję na ustach gorzki posmak?
Północne niebo wiatr z mgły otarł
i przenikliwie pachnie wiosną.

tłumaczyła Eugenia Kobylińska

Barbara GRUBNER-EYSYMONT

Wiosenna ballada o wietrze

Nie stukaj w okno.
Nie wyjdę, ani ci nie otworzę.
Nie budź mnie, gdy usypiam
I nie przerywaj mi myśli.
Tak, jak ty musisz przewiać
Zimę — ja muszę tworzyć.
Potośmy, wietrze wiosenny,
Oboje tutaj przyszli.

Tobie rozczesać deszcze,
Tobie sterować ptakiem,
Tobie przywrócić chmury
I tobie liście kołysać.
Mnie, wietrze, o tym wszystkim
Najwierniej, najprościej
Napisać.

Nie stukaj w okno.
Nie wyjdę, ani ci nie odpowiem.
Nie budź mnie, gdy usypiam
I nie przerywaj myśli.
Wiatr musi zostać wiatrem
Tak, jak człowiekiem-człowiek.
Potośmy, wietrze wiosenny
Oboje tutaj przyszli.

Konstancja MORAWSKA

Impresje wiosenne

I jak tu iść w oczu twych modrość
płynącą ze snu,
nieść pod skrzydłem nocy — samotność,
dźwięk stygnących nut.

Gdy za twoją sienią już wiosna
po co troskać cię,
płoszyć cieniem myśli żalonych
pogodę spod rzęs.

Dojrzewają gwiazdy u okien,
spadną w białosc dnia
jak nadziei złamanej dłońie
rzeźbione na szklach.

Z przytuloną do szyby twarzą
zapatrzysz się w świt,
noc odgarniesz we włosach zgasła
z mgielnych tkaną widm.

Nagłą falą wiatr cię obejmie
nachyli do serc.
Wiosnę sercom opowiesz wiersz
cenniejszą od lez.

Drogi słotne wiodą do nikąd,
wyrastają w noc.
Ludziom smutnym zieleń w doniczkach
wściel przyjazną ich dniom.

Jerzy CZAPIŃSKI

Eros i Caritas — idea realna

NIEJEDNOKROTNIENIE słyszy się nawoływania o wprowadzenie ideału do miłości małżeńskiej. Niejednokrotnie napotkać można ludzi, którzy twierdzą, iż tak częsty dziś, prozaiczny, oparty jedynie na ostrożnym przestrzeganiu praw Bożych i ludzkich, wygodzie i zaspokajaniu potrzeb doczesnych, stosunek małżeński powinien ustąpić miejsca stosunkowi opartemu na żywej tęsknocie za idealnie pięknym i dobrym związkiem ciała i dusz. Ale słyszy się także ostre zarzuty stawiane ludziom żyjącym w cieniu wizji doskonale dobrej i pięknej osoby kochanej. A spotkać można także ludzi, którzy zdecydowanie potępiają dążenie do harmonijnego, pozbawionego zawodów i starć wzajemnych a równocześnie pełnego dobra i piękna współżycia małżeńskiego. Twierdzą oni, iż jest to dążenie przypominające poszukiwanie kwiatu paproci, pogoń za złudą pustynnej faty morgana, wyprawę na szklaną górę.

Jest niewątpliwie coś słusznego w typowej, najczęściej spotykanej krytyce t.zw. „idealnej miłości”. Równocześnie trudno wątpić w to, iż nie ma, i być nie może, wzorowego, jako lekkiego małżeństwa, pozbawionego ożywiającej siły ideału. A więc?

Typowe opinie w tej sprawie, pomijając niejasność i niewyraźność pojęć, którymi operują, są jednostronne, niepełne, a więc błędne. Bo zważmy. Twierdzenie, że miłość małżeńska powinna być konsekwencją i wyrazem miłości idealnej, że ideał miłości małżeńskiej powinien kierować codziennym przeżywaniem małżeńskiego kontaktu dwojga ludzi, jest praktycznie biorąc nie wystarczającą, nie operatywną dyrektywą postępowania. Nie wystarczy powiedzieć: wierz w miłość idealną, służ ideałowi objawiającemu się w realnej rzeczywistości istnienia osoby kochanej oraz stałego miłostego z nią związku. Trzeba także podkreślić, jaka to ma być służba. Trzeba określić, jaki ma być własny stosunek do ideału, jak ten ideał traktować należy, czego odeń oczekiwać. Pominięcie tych spraw sugeruje, jakoby były one nieistotne, nieważne. Tymczasem wszystko zdaje się wskazywać na to, iż rzecz przedstawia się zupełnie inaczej. Jestem przekonany, że pozytywna albo negatywna rola ideału w miłości małżeńskiej zależy właśnie od tego, jaki będzie doń nasz stosunek, jaka będzie nasza reakcja na przeżycie sygnałów idealnej miłości. Sądząc, iż negatywna krytyka takiej miłości jest wtedy tylko słuszną krytyką, jeśli atakuje fałszywy stosunek do ideału. Próba natomiast eliminacji ideału z miłości małżeńskiej przypomina mi próbę eliminacji z życia społecznego filozofii czy nauki, eliminacji motywowanej błędami filozofów czy uczonych.

**

LUDZI hołdujących fałszywie pojmowanemu, a raczej traktowanemu, ideałowi w miłości spotkałem kilkakrotnie. Zawsze wzbudzała oni bądź litość, bądź irytację, bądź i jedno, i drugie. Byli zwykle szczerze przekonani, że ich przedmiot miłości jest ideałem piękna, dobra, a często także mądrości. Ta wyidealizowana osoba występowała w ich świadomości jako osoba specjalnie predystynowana do upragnionego związku, specjalnie przeznaczona do tego, aby jednemu, i tylko jednemu człowiekowi zapewnić szczęście. Wszystko razem było, rzecz prosta, naiwnym a groźnym w skutkach ignorowaniem rzeczywistości.

Trudno tu oczywiście mówić o jakiejś precyzyjnej, opartej na poprawnych badaniach obserwacji, mam jednak wrażenie, że nie ryzykuję wiele twierdząc, iż owi naiwni po-

szukwacze idealnej miłości wyobrażają sobie zwykle, jakoby poświęcony jej trud nad własną psychiką i wyglądem obowiązywał jedynie w okresie przedmałżeńskim. Okres ten, to w ich pojęciu okres walki o umiłowaną osobę, okres słodkiej udręki i niepewności. Zwycięstwo, wyrażające się zdobyciem wzajemności oraz faktem zawarcia formalnego związku, jest końcem wszystkich tych trudów i przeżyć. Dni po zwycięstwie są dniami słodkiego spożywania owoce walki o umiłowaną osobę. Praca i walka czeka człowieka jedynie w związku ze staraniem o odpowiednie materialne warunki dla tej miłostej konsumpcji.

Jest w tym swoista logika. Przeciwnie idealny współmałżonek czy współmałżonka nie zmusza nas wcale do wysiłków, nie przysparza dążeń i zadań ideowo-wychowawczych. Ktoś idealnie piękny, dobry i mądry nie wymaga już właściwie starań. Nie już nie mobilizuje, aby piękno, dobroć i mądrość ujrzyć w towarzyszcu życia. Cóż więc dziwnego, że „logicznie” biorąc aktywność ogranicza się jedynie do obrony stanu posiadania, do organizowania zewnętrznych warunków pomyślnego konsumowania własnego szczęścia.

Zwolennicy, rzec by można, konsumpcyjnej koncepcji stosunku do ideału miłości wcale nie zawsze sądzą o sobie, iż sami należą do idealnie pięknych, dobrych i mądrych. I, rzecz jasna, wcale nie zawsze są takimi idealnymi... nadludźmi. Tak zatem wygląda na to, że wewnętrzna harmonia ich przyszłego małżeństwa będzie się sycić mocą dobra i piękna tylko jednego ze współmałżonków. Mówiąc inaczej, owi konsumpcyjni idealisci, których staram się tutaj scharakteryzować, zajmują w sprawie miłości małżeńskiej postawę jednostronnego brania przy braku woli jakiegokolwiek systematycznego, znojnego zaangażowania się w utrzymanie harmonii małżeńskiego współżycia. Żąda się wiele od ukochanego ideału, nie wiele natomiast wymaga się od siebie. Żąda się piękna, dobra, mądrości, wychodząc z założenia, że powyższe postulaty obowiązuja tylko przeciwną stronę. Miłość już się przecież zdobyła, pocóż więc dalsze starania? Do idealnej miłości nie potrzeba dodawać już nic więcej.

U podłożu wszystkich tych błędnych opinii tkwią, moim zdaniem, fałszywe marzenia z lat dojrzewającej młodości o szczęściu miłostym, o pełnym zrozumieniu, pełnej harmonii i... pełnym bezruchu. Marzenia to par excellence konsumpcyjne. Nie ma w nich miejsca na wizję twórczego, wspólnego wysiłku nad wspólnym małżeńskim szczęściem. Wszystko jest dane, gotowe, podane na talarzu. Dokonuje się w jakiejś nieistniejącej próżni społecznej, w której człowiek nie jest zarażony złem, jest „gotowy”, wcale się nie rozwija, nie udoskonala.

Idealna miłość, urastająca pod wpływem takich marzeń, staje się źródłem nieszczęścia. Nie ma przeciwnie, i być nie może, ludzi idealnie dobrych, mądrych i pięknych. Zrozumienie tej prawdy, jeśli przychodzi po zawarciu małżeństwa, jest przyczyną bolesnego zawodu i dręczących pretensji do siebie samego i innych. Rzeczywistość małżeńskiego życia wykazuje ponadto dobitnie dzień po dniu, że miłość ginie, usycha, jak niepodlewana roślina, zawsze wtedy, kiedy pragnie się jedynie spożywać owoce miłości, nie pracując, czasem ciężko, nad jej trwaniem i rozrostem. Życie małżeńskie żąda trudu, wyrzeczenia, ofiary i zabiera nie tylko elementy szczęścia, ale i

wręcz burzy spokój, samą wolę życia, kiedy tego trudu, tych wyrzeczeń i ofiar brak. Staje się więc rzecz rozpaczliwie jasną, że wizja bezbolesnej, bezproblemowej konsumpcji szczęścia jest fałszywą, błędną wizją. Okazuje się, że żaden „ideał” nie potrafi sprostać stawianym postulatom. Obrażony na rzeczywistość człowiek osuwa się więc w otchłań rozpacz, niewiary w ideały, zmysłowego użycia, obojętności, a miłość przeżywa swój kres.

**

FALSZYWY, niezgodny z prawdą o człowieku i świecie pogląd na idealną miłość jest chyba wyrazem tej tendencji przeżywania świata, którą określię tu mianem: sentymentalizm. Egocentryczna kultura uczuć związanych jedynie z własnym, osobistym życiem; przewrażliwienie, mimozowatość, gdy chodzi o stosunek do własnej osoby, a niewrażliwość w zadawaniu bólu innym, niewidzenie tego faktu; uleganie nastrojom; szukanie emocji dla niej samej; ocenianie ludzi i rzeczy w perspektywie ich zdolności do budzenia silnych wrażeń — oto są główne, moim zdaniem, cechy sentymentalistycznego przeżywania świata. Łączy się to przeżywanie z brakiem realizmu, z marzycielstwem bezpłodnym, wygodnym i słodkim. Jest źródłem oderwania się od życia, niewidzenia jego praw i celów. Syci sentymentalizm pogardą do świata, wychowuje wrogów życia i jego spraw. Jest początkiem rozpacz i zatury, obojętności i choroby woli.

Niewątpliwie czasy nasze wydały szczególnie zdecydowaną walkę sentymentalizmowi. Wielu ludzi oceniło i zrozumiało bezsens sentymentalistycznego przeżywania świata. Wielu jednak z nich zajęło postawę, co prawda diametralnie od sentymentalizmu różną, ale równie jak on błędną, prowadzącą na manowce nieszczęścia. Wielu z nich wzięło w posiadanie wzdorliwą obojętność wobec ideałów, niewiara w realność wzorów doskonałych, trudnych i upragnionych.

Wyrazem takiej postawy jest tzw. „realne podejście do małżeństwa”. Ludzie, którzy mu hołdują, niewiele się od małżeństwa spodziewają. Stawiają mu cele minimalne, związane głównie ze sprawą wzajemnej pomocy, ułatwiającej walkę o chleb, przeciwdziałanie chorobie itp., z zaspokajaniem popędu seksualnego i rodzicielskiego w sposób wygodny i społecznie akceptowany. Sprawy wychowawcze, ideowe, sprawy przeżyć mnożących sumę dobra i piękna w małżeństwie są w tym widzeniu rzeczy czymś śmiesznym, zbytecznym.

Nie wątpię, że realizm powyższej postawy jest realizmem tej samej wartości, co realizm sentymentalizmu. Życie nie jest miejscem wygodnego, bezproblemowego urządzania się, a człowiek nie przestaje nigdy tęsknić za pełnym pięknem i dobrem. Tak więc fakt, iż związku małżeńskiego nie można opierać na sentymentalistycznej koncepcji miłości nie oznacza, sądząc, wcale, iż można i należy wyrzec się w małżeństwie ideału. Ideał doskonałej miłości małżeńskiej, ideał współmałżonka dobrego, mądrego i pięknego, jako współtwórcy tej miłości, musi być faktycznym organizatorem motywów naszego postępowania zawsze wtedy, kiedy chcemy, aby to postępowanie ustrzegło nas przed małżeństwem występującym w naszym życiu jedynie jako źródło trosk i moralnych upadków. Sedno rzeczy polega na tym, iż nie może być to ideał dany leżący z a d a n y.

(Dokończenie na str. 11)

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (36)

TOMIK PIONIERSKI

W ogólnym dorobku powojennej poezji katolickiej w Polsce tom wierszy Macieja Józefa Kononowicza stanowi pozycję odrębną, ważną, specjalną. Jej odrębność i jej ważność polega przede wszystkim na śmiałości i od dawna przez układ sił współczesności postulowanym rozszerzeniu zakresu doświadczeń i doznań poetyckich, jej specjalność polega na objęciu tym zakresem sfery konkretnych problemów, których przeżycie nadaje wierszom Kononowicza wielki walor polityczny.

Tomik „W ramionach srebrnych rzek” jest poetyckim dokumentem naszej żywej i organicznej łączności z Ziemią Zachodnią, jest artystyczną próbą wyrażenia wielkiego przełomu historycznego w życiu narodu, próbą artystycznego przedstawienia momentu, gdy

Kipiący, roziskrzony
Zwarty blok narodu
Przechylił się na zachód...

(str. 25)

Bodajże po raz pierwszy w powojennym okresie poeta katolicki podejmuje w swych wierszach zamiar tak par excellence polityczny! Po raz pierwszy bodaj poeta katolicki Polski Ludowej podejmuje trud konkretnego nazwania językiem poetyckim wielkiej problematyki naszych dni. Złe to świadczy o odwadze i sile współczesnej poezji młodych poetów katolickich. To prawda, Gorka prawda. Gorycz tej prawdy od dawna wzbiera we mnie nienapisanym jeszcze, lecz już krystalizującym się pamfletem na rodzinnych braci. Ale tym mocniej trzeba podkreślić odrębność nowego zbioru Kononowicza, tym silniej zaakcentować jego ważność.

Poezji naszej brakowało wierszy o wyraźnie skryształizowanym temacie politycznym. Nikt nie ma za miaru twierdzić, że do takich wyjątków wierszy winni sprowadzić swoją twórczość nasi młodzi poeci katolicy. Ich zadania są wielorakie, zobowiązania wielokierunkowe. Za mało jednak było z ich strony konkretnego przejęcia się epoką, za dużo ogólnikowych uników, mglistych wędrówek do nikąd, spacerów po pasemku promieni księżycy, wzniosłych śpiewów do obrazów, na które obrazy — swoim zwyczajem — nie odpowiadały. Wiersze Kononowicza są częściowym przywróceniem równowagi, są zapowiedzią przemiany, polegającej na zubożeniu ubożego przepychu luksusowo urządzających się — kosztem innych — poetów wygodniczych, są w naszych warunkach pionierską wyprawą w głąb politycznego konkretności. Były przedtem nieśmiałe próby badania terenu (np. „Wybory” Rostworowskiego, „Kantata” Bieszczańskiego, satyry Olszewskiego), ale były to tylko jednowierszowe wypadki. Tomik Kononowicza jest zamierzeniem szerszym.

Nie należy doszukiwać się w tym stwierdzeniu sugestii, że jest on najdoskonalszą realizacją postulowanego przez rzeczywistość rozszerzenia sfery doznań poetyckich. Nie jest nawet realizacją do skonała. Są w nim błędy, których nikt nie ma zamiaru pokrywać milczeniem. Ale przede wszystkim go dzi się zwrócić uwagę na to, co wnosi do naszej poezji nowego, czym ją zubożca, co jej z siebie daje. To nowum tomiku „W ramionach srebrnych rzek” polega na dążeniu do stworzenia zwartej całości obrazu przemian historycznych jednej z najważniejszych po-

litycznie polaci życia naszego narodu.

Kononowicz w wydany przez „Pax” zbiorek ukazał poprzez obrazy poetyckie najważniejsze zaważenia stojące przed nim problematyki. Jest więc tu i retrospektywny rys historyczny („Apostrofa do rzek”), i historia ostatniej wojny, której zwycięski finał scalił nasze ziemie (cykl: „W walce”), jest i syntetyczne ujęcie wielkości



przeobrażenia geo-politycznego („Historia współczesna”). Znalazł poeta wyraz dla braterstwa broni Armii Czerwonej i Armii Wojska Polskiego („Krzyż”), i „Gwiazda”, tworzące cykl „Za jedną sprawę”). Nie pominął autor milczenia sprawy nowych stosunków z NRD, nowego klimatu współżycia dwóch sąsiadujących narodów („Most Zgorzeleca”, „Frankfurcki dzwon”). Ukazał trud odbudowy i budownictwa socjalistycznego na tamtych ziemiach („Wrocław 1945”, „Impresja wrocławska 1952”, „Murarze”, „Ostrów Tumski”). Wyraził niezłomną wolę narodu, który czując się w pełni praw historycznych ma jasną świadomość swojego zadania („Najtkliwsza dłoń”, „Tu wracamy”). Wydobył — jako poeta katolicki — silny akcent związku tradycji katolickiej tych ziem z ich polskością, podkreślił wagę zadań i roli katolików w dziele utrwalańia siły, pogłębiania postawy ludu nadodrzańskieg („Beatus vir — biskup Nankier”, „Na Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny”, „Tercyna”, „Inwokacja do Boga”). Dzięki temu zbiorok jest zwarta wewnętrzną całością poetyckiej wypowiedzi ideowo-politycznej. Jest rzetelnym ładunkiem bojowym, orężem, wskazówką, dokumentem.

Wartość ideowo-polityczna zbioru nie sprowadza się jednak tylko do poetyckiego odnotowania problemów Ziemi Zachodniej. Każdy prawie utwór ma tu ambicję wyrażania istoty tych problemów. Prawie żaden nie chce być tylko statycznym opisem, prawie wszystkie chcą być — i są — dynamicznymi ocenami, prawie wszystkie wartościują, selekcjonują, hierarchizują poszczególne elementy rzeczywistości. Wiersz staje się przez to czymś prężniejszym poznawczo, żywością poetycką, słusznym ideowo-politycznie.

Tam gdzie poeta spogląda wstecz w młono stulecia, przeprowadzono już korektę poglądów historycznych. Nie ma tu mitu odwiecznej nienawiści narodów. Jest stwierdzenie określonego kierunku ekspansji krzyżacko-faszystowskiej. Tam gdzie poeta mówi o braterstwie broni żołnierzy radzieckich i polskich, dokonano już degradacji sloganowego frazesu. Nie ma nań doświadczeń ogólników. Jest wskazanie i poetycka interpretacja faktu historycznego. Tam gdzie poeta mówi o patosie odbudowy, przepro-

wadzono już eliminację tanich banałów. Tam gdzie poeta mówi o katolickiej problematyce Nadodrza, wprowadzono realistyczny pierwiastek konkretyzacji. Nie ma już anonimowego entuzjazmu pięknych duchowskich trubadurów, którzy za akt wielkiego postępu ideowo-politycznego i za pełną wymowę liryczną patriotyzmu uważali opiewanie malarskich zauroczeń nieznanych miasteczek nadodrzańskich. Pogłębia to wszystko wymowę ideowo-polityczną, wzmacnia ogólny walor zbioru Kononowicza.

W AŻKOŚCI jego sensu ideowego, kierunkowości jego odważnej tematyki, powszechności jego problemów odpowiadać musiał kształt artystyczny, warunkujący brzmienie treści ideowych i warunkowany ich charakterem.

Jak u Kononowicza wygląda ta sprawa? Jak się uporał z trudnościami harmonizowania „treści” i „formy” w jednolitym przeżyciu poetyckim? Co w artystycznym brzmieniu wspomaga, a co osłabia się ważkiego ideowo wystąpienia poetyckiego?

Oceniając ostatni tomik Macieja Józefa Kononowicza jako dokument walki o artystyczny kształt dla nowych treści ideowych współczesnej poezji katolickiej w Polsce, zwrócić trzeba uwagę przede wszystkim na jedno. Jeżeli brąc bę dziemy pod uwagę katolickich poetów polskich, w nielicznym i anemicznym gronie reprezentujących pokolenie rozwijające się po wojnie — Maciej Józef Kononowicz będzie tym spośród nich, który główną swoją inwencją artystyczną oddawał przede wszystkim lirycę patriotycznej i lirycę religijnej. Pisałem o tym i w „Recenzji z niewydanego tomiku”, który omawiał tom pt. „Wojna i niepokój”, i w „Zapowiedzi”, która poświęcona była arkusowi poetyckiemu „Paxu” pt. „Stacje liryczne”. Ten gatunek liryki, zwłaszcza jeśli więcej uwagi poświęci się lirycę patriotycznej, związany jest artystycznie z określonymi tradycjami literackimi — od romantycznych poczynając, poprzez Mieczysława Romanowskiego, później Edwarda Słońskiego i „Tęczę łez i krwi” Staffa, aż po dzień dzisiejszy. Na przedłużeniu tej linii — oczywiście, z uwzględnieniem jej falowania — „ustawić” trzeba Macieja Józefa Kononowicza.

Piękną i trudną a konieczną i słuszną kontynuacją tej linii jest także zbiorok „W ramionach srebrnych rzek”. Oczywiście, byłoby przykrym obustronnie nieporozumieniem, gdyby poetykę Kononowicza traktować jako epigońskie rozwijanie czy wykorzystywanie typu relacji poetyckiej wykształconej przez poprzedników. Zmieniły się warunki, zmienił się układ sytuacji ideowej, skomplikował się i pogłębił sposób odczuwania i rozumienia potrzeb i zadań narodowych, powstał nowy typ patriotyzmu — musiał się zmienić wyraz poetycki, musiała ulec artystycznym przeobrażeniom liryka patriotyczna. Uspółcześnieniu treści przeżyć patriotycznych musiało towarzyszyć współczesnienie środków wyrazu. To, co wystarczało jako arsenał poetycki E. Słońskiemu, Mączce, A. Teslarowi czy St. Długoszowi, nie wystarcza tym, którzy głębiej, szerzej pojmują sprawy narodowe.

Kononowicz wie o tym. Jego poetyka wyraża tę świadomość poszerzeniem swego zakresu posiadania, współczesnieniem swego spo-

sobu działania. Ale jednocześnie — mimo istotnych zmian spowodowanych ewolucją i rewolucją historyczną w życiu narodowym — ogólna zasada, zasada umiłowania zbiorowości, zasada powiązania losów indywidualnych z losem narodowym, zasada przeżywania losu narodu w nierozdzielalnym związku z losem własnym pozostała wspólna lirycę patriotycznej wielu epok. I ta wspólnota musi wyrażać się także wspólnotą ogólnych praw artystycznych, choćby sprowadzały się one do samej dominacji na strojowej, do ukrytych pokrewności leksyki, chwytów metafory, patetyczności frazy poetyckiej. W tym znaczeniu liryka patriotyczna u Kononowicza nawiązuje do tradycji, jest jej kontynuacją.

Na silnym związku z tak rozumianymi tradycjami liryki patriotycznej i na współczesnieniu środków wyrazu polega signum specyficzności kształtu artystycznego wiersza Kononowicza.

Jak to wygląda w świetle konkretnego?

Kononowicz — wierny przedstawionym tradycjom — w wierszach swych operuje patetyczną — w szlachetnym tego słowa brzmieniu — frazą poetycką, inwokacją, retorycznym, oratorskim zaśpiewem. Obraz skłonny jest zastąpić uogólnieniem, konkret — pojęciem, zjawisko — godłem narodowym — w specjalnym klimacie utworu — wszystkie te elementy dają w ogólnym zestroju ton namaszczony, koturnowy, pełen patetycznej ceremonialności. Zestroj ten jest prawidłowy. Każde z tych określeń użyte zostało w krytycznym opisie i ocenie w znaczeniu pozytywnym. Skala tematu usprawiedliwia tu skalę patosu. Siła patosu unaoznia tu siłę przeżyć. Słowa — pojęcia swoją leksykalną pojemnością mają stanowić gwarancję niepamięszania wagi zagadnień. Wierszy opartych na tej zasadzie działania poetyckiego nie można mówić cichym szeptem przy czarnej kawie na kameralnym zebraniu towarzyskim. To są wiersze recytacyjne, wiersze do sal odświętnie ubranych, pełnych ludzi. Te wiersze trzeba mówić głosem pełnym, o dwa tony wyższym niż normalny. Podobnie jak — za chowując wszelkie proporcje — wiersze Broniewskiego. Nie chodzi tu ani o „porównanie, ani o wskazówki inscenizacyjne. Chodzi o określenie typu utworów Kononowicza, o postawę autora, o podkreślenie klimatu jego poetyki, o zaakcentowanie jej patetycznego, retorycznego — w pozytywnym znaczeniu tego słowa — charakteru.

Dopiero w oparciu o takie rozumienie zamierzenia i wykonania poetyckiego zyskują wiersze zbioru „W ramionach srebrnych rzek” swoją pełną wymowę artystyczną. Dopiero wtedy właściwie można od czuć piękny patos „Inwokacji do Boga”, siłę wiersza „W marszu nad Odro-Nysą”, prawdę „Najtkliwszej dłoni”, plastyczność „Historii współczesnej”, wagę utworu o Nankierze, trafność „Mostu Zgorzeleca” czy „Frankfurckiego dzwonu”.

Nie można zapominać jednak, że każdy wiersz o taka poetykę oparty naraża się na niebezpieczeństwo patetycznych przerosłów, na sztuczność zbyt koturnowego gestu poetyckiego.

Nie zawsze zdołał się przed tym ustrzec Kononowicz. Ale wiele zwycięstw w tym zakresie zawdzięcza dążności do współczesnienia tra-

dycyjnych form liryki patriotycznej. Dzięki tym zabiegom równoważy się w jego utworach patos z żarliwym realizmem konkretności, nastrojowość z publicystyczną pasją, wielka tkliwość z brutalną agresywnością krytycznego opisu. Kononowicz przesyca tą ambicją współczesnienia swoich środków wyrazu nawet leksykę swych wierszy. Jest tam nawet i „kanciarz”, i „paser” i „ciuchy”, i „proto-bikiniarzy”. Jeśli panuje nad tym czujność poety, jeśli łączy się z tym uczuciowa żarliwość relacji poetyckiej — efekt jest zawsze do zaakceptowania. Sprawdzić to można choćby przy lekturze wiersza „Wrocław 1945” czy stylizowanej luźnowo „Wsi nad Odrą”. I tu jednak łatwo o przesadę, i tu czeka niebezpieczeństwo przerysowania, wulgaryzacji. Poeta musiał się jej wstrzeżeć równie czujnie jak nadmiernego patosu.

I jedno i drugie niebezpieczeństwo chwilami zawodzi jego czujność artystyczną.

Oto np. w wierszu „Viri sanguinum” w ostatniej zwrotce rozlewa się krew, „ocean krwi”. Język hiperboli poetyckiej ma swoje prawa. W „Kwiatkach polskich” Tuwima jest obok „Karpata ciał” cały „Bałtyk krwi”. Ale ocean — to za dużo. Brzmi zbyt koturnowo. Oczywiście — to drobniaczek, szczegół. Ale to także przykład, sygnał: słowo poetyckie rozlewa się zbyt szeroko. Inny przykład: w wierszu „Tu wra camy” w drugiej strofie poeta pisze „Tu się dionie zaryły w ziemię jak szpony”. Patos poetycki ma swoje prawa. Nie należy odmawiać ich Kononowiczowi. Umiał z nich mądrze korzystać. Ale tu już popełnia błąd łatwej, młodopolskiej stylizacji. I sama „ziemia” jest przez starzała leksykalnie, i sam obraz wzbijania w nią szponów — sztuczny, zużyty. To też drobniaczek, też szczegół. Ale te drobniaczki świadczą o nie zawsze jeszcze przewyższonych skłonnościach ku zbyt konwencjonalnemu wzorcowi liryki patriotycznej. Niech będą ostrzeżeniem.

Innym sygnałem winien być „Za łącznik z satyrycznym przytupem”. Autor popełnił błąd kompozycyjny włączając go do zbioru. Za dużo tam gierki, kalamburków, łatwiotkich point. Mąci to wrażenie, jest jakimś dysonansem, jakimś nieporozumieniem. Byłoby znacznie lepiej, gdyby tomik zamykały akordy „Frankfurckiego dzwonu”.

Na te potknięcia poety jeszcze i dlatego warto było zwrócić uwagę, że kryją za sobą potencjalne możliwości poważniejszych błędów już nie tylko artystycznej natury. Ze skłonnością ku nadmiernym stylizacjom patetycznym wynika niesłuszne usprawiedliwienie dla traktowania miejscami sprawy polsko-niemieckiej jako sprawy „słowiańsko-germańskiej”. Ze skłonnością ku satyrycznym przytupom wynika tendencja upraszczania faktu „kar tofelków z buraczkami”, które poeta je „raz w Zgorzelecu, raz w Bolkowiu”.

Ale niechaj te zastrzeżenia nie naruszają sprawy najważniejszej: tego, że Kononowicz dokonał twórczego wysiłku poetyckiego, dokonał pięknej i rzetelnej pracy, stworzył zbiór wierszy, który jest prawdziwą zdobyczą polskiej poezji, polskich katolików.

Tomik jego wierszy, to uzupełnienie naszego wielkiego braku, to jednocześnie tom otwierający nowy zakres działania poetyckiego, tom pionierski.

Potrzebny tom.

Zygmunt Lichniak

*) Maciej Józef Kononowicz: „W ramionach srebrnych rzek”, wyd. „Pax”, Warszawa 1953, str. 51, ilustracje Marka Kononowicza.

MÓWCA podniósł rękę. Krzyk cichnął powoli.

— Ziemia — rozpoczął znowu, ale głos jego głucho utknął we wrzawie. Przechylił się przez mównicę i wyteżył do krzyku. — Ziemia, którą nam wydarto przemocą jest odwiecznie, rdzennie niemiecka. Teraz odda no ją w ręce barbarzyńców. Ta ziemia nie może być stracona dla kultury europejskiej. Ta ziemia musi wrócić do Niemiec!

— Zurück zum Reich! — wrzasnął ktoś z głębi sali.

Klaus szybko odwrócił się. Przez moment zdawało mu się, że ulega złudzeniu, ale już po chwili nie miał wątpliwości, że patrzy na Eryka. Kilka rzędów dalej stał na krześle z podniesioną ręką. Miał rozpięty kołnierzyk u karku i zaczerwienioną z podniecenia twarz.

— Zurück zum Reich! — wrzasnął ponownie. Krzyki podniosły się z nową siłą. Zaczęto wstawać z miejsc.

— Zurück! Zurück! — wołała cała sala. — Nieder mit den Polen! Es lebe Grossdeutschland!

Klaus poczuł chłodny dreszcz na plecach. Przez chwilę szukał oczami miejsca, w którym widział na początku wiecu alianckich oficerów, ale nie mógł nic zobaczyć z powodu znacznego tłoku. Z trudem przecisnął się w tamtą stronę. Siedzieli spokojnie i leniwie palili papierosy. Klaus pomyślał, że może nie rozumieją po niemiecku. Inaczej nie potrafiłby sobie wytłumaczyć ich obojętności. Zrobił jeszcze kilka ruchów łokciami i pochylił się do ucha Anglika.

— Przepraszam bardzo — powiedział półgłosem. — Czy pan widzi, co się dzieje tutaj?

Oficer był zdziwiony, ale uprzejmy.

— Oczywiście. Widzę wszystko i nawet wszystko rozumiem. Znam wasz język. Dlaczego jednak pan pyta?

Klaus zobaczył jego chłodne, znudzone oczy. Patrzyły gdzieś jakby poprzez niego. Powiedział z trudem:

— Dlatego, że pan nie interweniuje. Przecież to są szowinistyczne okrzyki.

— Och — oficer wzruszył ramionami. — Pan się trochę myli. To jest zwykła wymiana poglądów politycznych. Może pan być pewny, że gdyby padło tu jedno chociaż słowo o zabarwieniu szowinistycznym, to natychmiast zerwałbym wiec.

Cofnął się. Nie widział nawet ironicznego uśmiechu oficera, bo w tej chwili stało się coś, czego nie oczekiwał. Na podwyższeniu stanął wysoki, chudy blondyn. Miał rozpięty, zniszczony płaszcz wojskowy. Jedną ręką rozchylił go jeszcze bardziej, drugą trzymał się mównicy. Wszyscy mogli zobaczyć teraz, że miał tylko jedną nogę.

— Towarzysze! — krzyknął. — Ten, który stał tu przede mną, mówił nam o krzywdzie, jaką wyrządono narodowi niemieckiemu i kulturze europejskiej, ale zapomniał zupełnie, że dziś nie jest pierwszy kwiecień i nie ma miejsca na kawały.

Sala nie rozumiała jeszcze. Wszyscy poschodzili z krzeseł i słuchali uważnie. Inwalida sięgnął ręką do kieszeni i coś z niej wyjął. Kiedy podniósł otwartą dłoń do góry, Klaus zobaczył znajomy kształt żelaznego krzyża.

— Ten krzyż dostałem za to, że strzelałem do ludzi, którzy nigdy od nas niczego nie chcieli, którzy nigdy na nas nie napadali. Teraz myślicie znowu, że to oni są przyczyną waszego nieszczęścia. Płaczeć nad tym, że odebrano Niemcom wschodnie ziemie. Czas już skończyć z tymi bzdurami. Pomyślcie trochę, czy to czasem nie Niemcy właśnie mają na swoim koncie jakieś krzywdy.

Dopiero teraz rozumiano. Sala zadrgała od tupotu nóg. W tylnych rzędach zaczęto gwizdać. Blondyn miał jednak silny głos. Każde słowo docierało do końca, do ostatnich rzędów.

— Tę nogę straciłem pod Rostowem — wolną ręką sięgnął do spodni i potrząsnął pustą nogawką. — Czy i wy też chcecie być bez nóg?!

— Precz z nim — zerwał się pojedynczy okrzyk.

Klaus zobaczył, że Eryk znów stoi na krześle. Palce obu rąk włożył do ust. Policzki wydeły mu się lekko.

— Genug! Nieder! — ryczało kilka głosów. Z dołu wyciągnęły się ręce po niewygodnego mówcę.

— Towarzysze — próbował jeszcze, ale jego głos utknął martwo w wrzasku. Górą przebiegła czerwona smuga; miękki, nadgniły pomidor trafił inwalidę w czoło. Czerwony miąższ obryzgał mu całą twarz. Od ruchowo podniósł rękę, żeby zasłonić oczy. Wtedy ktoś szarpnął go za nogę. Upadł. Ściągnięto go na dół i Klaus zobaczył, że w górę podniosły

Kazimierz RADOWICZ

— Na co?

Pytanie wydało się Erykowi trochę dziwne. Popatrzał uważnie na Klauza jakby szukał na jego ustach ironicznego uśmiechu, ale nic takiego nie zauważył.

— Jakby ci to powiedzieć? — zastanowił się. — Czekam. Pytasz na co. Czy nie rozumiesz, że teraz będą potrzebni tacy jak ja?



się zaciśnięte pięści i opadały szybko. Rzucił się do przodu, ale ktoś przytrzymał go silnie za rękaw.

— Dokąd to, kolego? — usłyszał ironiczne pytanie. — Czy chcesz bronić tego zdrajcy?

Za nim stał Eryk. Jego zmrużone lekko oczy rozszerzyły się nagle, kiedy Klaudiusz odwrócił głowę.

— Klaus?! Skąd się tutaj wzięłeś, chłopie? — puścił jego rękaw. Ton głosu był ciepły, serdeczny i radośnie zdumiony.

Klaudiusz starał się być oficjalny.

— Z ulicy — odpowiedział krótko. — Byłem ciekawy, co się tu dzieje właściwie. Czy ty może jesteś też „heimatvertrieben“?

— Och, nie — Eryk uśmiechnął się szeroko. — Jestem tutaj tylko dlatego, że mnie te sprawy też interesują. Jeżeli chciałbyś porozmawiać ze mną o tym — to wyjdźmy. Tu już nie będziecie ciekawego, a po drugiej stronie ulicy jest bardzo przyjemna kawiarnia. No?

Klaus kiwnął głową. Zaczęli przepychać się do wyjścia. Jeszcze w drzwiach dobiegły ich słowa nowego mówcy:

— Niemcy muszą powrócić na swoje ziemie. Niemiecki Szczecin, Wrocław, Gdańsk...

Dalsze słowa zagłuszyły oklaski i okrzyki. Klausowi wydawało się, że słyszy je nawet w małej, cichej kawiarni. Eryk był tu najwidoczniej zadomowiony; kelner widząc go podbiegł natychmiast i zaprowadził do małego, dyskretnie umieszczonego w niszy stolika.

— Koniak jak zwykle? — zapytał.

— Tak. I kawę. Napij się chyba kawy — zwrócił się do Klauza.

— Bardzo chętnie. Chciałbym jednak przede wszystkim dowiedzieć się, co ty teraz robisz. Może to jest za szybko postawione pytanie, ale myślę, że między sobą nie potrzebujemy bawić się w ceremonie.

— Jak możesz w ogóle tak mówić — Eryk wzruszył ramionami. — Pytałeś jednak co robię. To jest bardzo proste. Czekam.

— Ach tak — Klaus kiwnął ze zrozumieniem głową. — Więc dlatego byłeś na tym wiecu?

— Dziwi cię to? — Eryk był teraz wyraźnie zdumiony. — Nie przypuszczałem, że te sprawy stały ci się obojętne. Przecież sam mieszkałeś kiedyś we Wrocławiu. Studiowałeś tam...

— I dlatego uważasz, że powinienem też ryczeć „Zurück zum Reich“? — przerwał Klaus. — Miałbym nawet do tego większe prawo niż ty.

W tej chwili zjawił się kelner z kawą i koniakiem. Eryk mieszając cukier nie patrzył na Klauza. Odpowiedział po chwili dopiero:

— Zdaje się, że od czasu naszego ostatniego spotkania bardzo się zmieniłeś. Dlatego nie wiem, czy rozumiesz to, co ci teraz powiem.

Podniósł głowę. Lampa z dużym abażurem wisząca nisko nad stolikiem oświetlała mu tylko połowę twarzy. Miękkie, ciepłe smugi cienia ułożyły się równo na linii ust, łagodnie okoliły podbródek podkreślając jego twarde, ostry prawie kształt. Kiedy pochylił się do przodu linia światła przesunęła się ku górze wydobywając z półmroku nos i oczy. Klausowi wydawało się, że wraca do nich ten sam drwiący, chłodny wyraz jak zobaczył na wiecu. Sięgnął po kieliszek.

— Spróbuj. Może uda mi się ciebie pojąć.

— Mnie? — Eryk rozłożył bezradnie ręce. Ignorancja Klauza była dla niego zupełnie niezrozumiała. — Przecież tu nie chodzi tylko o mnie. Ja jestem tylko jednym z wielu. Jednym z tych, którym wyrządono krzywdę. Obok tych spraw nie można przejść obojętnie. Jako Niemiec muszę czuć jak obelgę to, co się stało. A poza tym łączą mnie z tamtymi ziemiami wspomnienia...

Odchylił się do tyłu. Oczy zniknęły mu znów w półmroku, ale Klaus wiedział, że Eryk patrzy teraz gdzieś w tamte wspomnienia, w dni, które już przeszły, ale do których się wraca całą mocą wyobraźni, które się przywołuje uparcie i długo cieży ich kształtem. Nie przerywał

milczenia. Zbyt dobrze pamiętał te chwile, kiedy zgnie, cuchnące błoto okopów zamieniało się w jednej chwili w złotą plażę, jeśli zamknięto się szczelnie oczy i chciało zapomnieć o wodzie ściekającej za kołnierzyk płaszcza. Ciężko było jednak wracać z powrotem; a Eryk właśnie wychylił się znów do światła.

— Bardzo cię przepraszam — powiedział wolno. — Zamyśliłem się. To spowodowała nasza rozmowa. Przypomniała mi się jedna miejscowość na tamtych ziemiach o których mówiliśmy. Spędzałem w niej swój ostatni wojenny urlop. Wiesz, wysiadła się na takiej malej stacyjce, a naokoło były tylko góry i lasy. Bardzo lubiłem pływać, a tam właśnie było jezioro. Duże jezioro, sztuczne. Rozumiesz: zaporą wodna — narysował palcem luk na obrusie. — To wyglądało imponująco: zamknięta w kamieniu potęga człowieka, który ujarzmił przyrodę — powiedział trochę patetycznie. Bardzo lubił takie mocne, ładnie brzmiące określenia. Wytrzymał też krótką, efektowną pauzę, zanim zaczął mówić dalej.

— Podobają mi się tam. Był spokój, a ja bardzo potrzebowałem spokoju. Nikt nie przylatywał bombardować tej zapory. To było niedaleko Hirschbergu; trzy albo cztery stacje. Teraz to się nazywa Pilichowice. Sprawdzalem — zacisnął nagle usta. To był jego sposób hamowania złości. Ciężko mu było teraz zdobyć się na uśmiech, chociaż próbował to zrobić. — No widzisz. Nie potrafię o tym mówić spokojnie; nawet wtedy, kiedy chciałbym przypomnieć sobie tylko tamte, szczęśliwe chwile. Nie potrzebowałem jeszcze wtedy myśleć zbyt wiele. Nikt nie zmuszał mnie do tego. Był zresztą ktoś, kto myślał za nas wszystkich.

— Führer — wtrącił Klaus.

E RYK podniósł szybko głowę. Słowo było za krótkie na to, żeby pochwylić w nim jakiś akcent uczuciowy. Nie mógł sprawdzić, czy Klaus nie drwi; palil spokojnie papierosa i właśnie pilnie obserwował niebieskawą wstążeczkę dymu, która rozplywała się w górę w bezkształtne obłoczki.

— Tak. Führer. To był człowiek, który potrafił uwolnić ludzi od ich największej tragedii. Od tragedii myślenia. Wolał jak sam przeżywać za wszystkich. Uwalał innych — nakładał na siebie ogromny ciężar. Sam cierpiał i nigdy...

Klaus poruszył głowę. Powiedział poważnie:

— Zostawmy Hitlera na boku. Wolę teraz słuchać o tym jeziorze. Czy byłeś tam sam?

— Nie. Z Moniką. Mieszkałiśmy na górze zaraz nad wodą. Nasz pokój nazywał się „Koppenblick“; na każdym drzwiach było coś takiego napisane. Z okna mieliśmy widok na całe Riesengebirge. Przez dwa tygodnie tylko raz zasłoniły je chmury. Brakowało mi wtedy czegoś. Przyzwyczaiłem się do ich widoku. Było nam tam naprawdę bardzo dobrze. Całe przedpołudnie pływaliśmy na kajaku. Jezioro było bardzo duże i ładne. Najlepiej jednak czuliśmy się tylko w jednym miejscu. To była taka duża, szeroka odroga i kończyła się płytką, wąską rzeczką. Woda była w niej lodowato zimna w największy upał. Kładliśmy się pod prąd, ale musieliśmy się trzymać dużych kamieni, żeby nas nie porwał w dół. Nie mogłem wytrzymać tej temperatury i Monika śmiała się ze mnie. Śmiała się — powtórzyl i nagle zacisnął usta — Przekleci bolszewicy...

— Przekleta wojna — poprawił Klaus. — Ale to znów nie należy do rzeczy. Opowiadaj dalej.

Eryk skrzywił się lekko po wypitym koniaku i długo szukał po kieszeniach zapalniczki, chociaż leżała przed nim na stole.

Powrót

— Właściwie nie ma o czym opowiadać — powiedział niechętnie jakby. — Chyba tylko tyle, że to były moje ostatnie szczęśliwe dni. Nie myślałem wcale, że muszę wracać na front. Monika pomagała mi o tym zapominać. Ty wiesz przecież, jaka ona była piękna, Klaus, prawda? — pochylił się do przodu. W oczach miał niecierpliwie pytanie.

— Była naprawdę piękna. Pamiętam ją dobrze.

Potwierdzenie to było chyba konieczne, bo Eryk mówił znów równo i jakby spokojnie.

— Teraz zaczynam już trochę zapominać. Rozumiesz — wyjaśnił ruchem ręki — nie można płakać całe życie. Wtedy jednak kochałem ją bardzo. Pamiętam, że mieliśmy w tej odnodze takie swoje ulubione miejsce. Wysoko nad wodą. Trzeba było wdrapywać się po skałach. Rosła tam trawa i kilka krzaków, a zaraz dalej las na zboczu góry. Tuż obok płynął mały statek. Tam leżeliśmy na słońcu długie godziny. Monika... — podniósł bezwiednym ruchem kieliszek i nie pijąc odstawił z powrotem. Nie skończył rozpoczętego zdania. Mówił teraz przyciszone, nierównym głosem. — Z tamtego wznie sienia widać było dwie gałęzie tej odnogi, którą Monika nazywała fiordem, chociaż to było słabe porównanie. Ale to był nasz fiord i ona miała prawo go tak nazywać. Nie oddałbym go za wszystkie, prawdziwe fiordy, chociażby były tysiąc razy piękniejsze. To był nasz fiord — powtórzyl. — Rozumiesz? — teraz nie mógł już się opanować. — Nasz! — krzyknął prawie. — A teraz to się nazywa Pilichowice! — ręce, które położył na stole miał zaciśnięte w pięści. — Ale my tam wrócimy. Nikt nie może nam w tym przeszkodzić. Wrócimy na pewno! — usta skrzywiły mu się drapieżnym uśmiechem, a palce obu rąk powoli rozkurzały. Klaus pomyślał, że wyglądają teraz jak szpony, które po coś sięgają. Powiedział z namysłem:

— Jak ty sobie wyobrażasz ten powrót?

— Ja? — Jest nas przecież bardzo wielu, więcej niż przypuszczasz ty i ci, którym się już poprzewracało w głowach. Słyszałeś takiego na naszym zebraniu i widziałeś, co z nim zrobiono. Tak jak ja myśli każdy uczciwy Niemiec. Odbierzemy zrabowane nam ziemie. Przeżyłem tam dwa najpiękniejsze prawie tygodnie mojego życia. Czy myślisz, że mogę zapomnieć o tym? Odbierzemy na pewno! — pochylił się nad stołem i z bliska patrzył Klausowi prosto w oczy. — Pytasz się jak? Tak! — odchylił się i uderzył silnie pięścią w stół; wąskie kieliszki zachwiały się lekko. — Siłą!

Klaus zapalił nowego papierosa. Zastanawiał się teraz nad każdym słowem, które chciał powiedzieć.

— Widzisz — zaczął, ale urwał niezdecydowanie. Nie potrafił o tych sprawach mówić spokojnie, a na gwałtowne słowa nie mógł sobie pozwolić. Nie chciał jednak już się cofać i mówił dalej. — Wydaje mi się, że chcę wrócić znów do tego samego co było. Cofnąć się wstecz i powtarzać rzeczy, o których należało by zapomnieć. Przynajmniej dla Niemiec byłoby dobrze, gdyby inni ludzie nie chcieli pamiętać o tym. My jednak powinniśmy sobie przypominać. To nas może otrzeźwić. Zwłaszcza takich jak ty — podniósł nagle głos i zakończył pytaniem. — Co się stało z Moniką?

Przez chwilę trwała martwa cisza. Eryk, który słuchał słów Klauza z drwiącym uśmiechem, teraz zbladł nagle. Wargi nie były już wyrazem ironii, ale grymasem złości; był żalony i bez wyrazu. Pytanie zaskoczyło go do tego stopnia, że

nad jeziorem

nie odpowiedział gwałtownie. Szepnął prawie:

— Przecież wiesz. Zginęła podczas walk o Berlin.

Klaus kiwnął głową.

— Oczywiście, że wiem. Chciałem tylko tobie przypomnieć. Zginęła dlatego, że tacy jak ty chcieli również powrócić tam, gdzie kiedyś spędzali wakacje nad Gopłem, albo w Metzcu.

Dopiero teraz Eryk zrozumiał. Powiedział ostro:

— Gdyby nie to, że uratowałeś mi życie...

— Zostawmy to w spokoju. Dasz war einmal. — Klaus podniósł rękę bezbarwnym gestem. — Mówiłem o Monice i o tym, dlaczego zginęła. Gdybyś jeszcze raz miał dziewczynę... Słuchaj — przechylił się przez stół i chwycił Eryka za rękę — powiedz mi, czy gdybyś jeszcze raz miał dziewczynę, to też chciałbyś, żeby pewnego dnia znów przyleciały samoloty? Pamiętasz jak to było? Zdawało się, że cały świat wali się nam na głowę. A przecież od tego czasu wymyślono już lepsze sposoby mordowania ludzi. Pomyśl, czy mógłbyś uchronić swoją dziewczynę?

— Teraz już nie przylecą. Sytuacja wygląda zupełnie inaczej — Eryk powoli opanował się.

— W tamtym wrześniu też tak myślano. Też były różne sytuacje i różne koncepcje. Tylko widzisz, najlepsze plany zalamują się, jeżeli były ułożone przez zbrodniarza. Jest jeszcze coś wyższego niż potęga ludzkiej złości.

Tym razem Eryk roześmiał się zupełnie szczerze.

— Więc ty jeszcze trwasz w tym obłędzie? — zawołał.

— To nie jest ważne dla naszej rozmowy, ale jeśli chcesz wiedzieć, to mogę ci powiedzieć, że nie wyleczyłem się z niego jeszcze. I nawet nie myślę się wyleczyć — niecierpliwie strzepnął ręką. — Nie będziemy teraz dyskutowali na ten temat. Nie mam zamiaru cię nawracać. To byłoby bezcelowe w tej chwili. Chciałem tylko powiedzieć, że plany takie, jakie masz ty i tobie podobni są z góry skazane na niepowodzenie. Tysiącletnia Germania nie mogła istnieć. Musiała załamać się przed słuszną siłą, która ją zniszczyła. Nowa zbrodnia, jaką można by popełnić, nie dokona się nigdy. Zbyt wielu ludzi widziało jej oblicze. Jeśli zapomniano, jak wyglądało Verdun, nie zapomni się, jak wyglądała tysiące cmentarzy wojskowych i jak umiera li ludzie w obozach koncentracyjnych. To była zbyt pikantna dekoracja do zwykłej mordowni, jaką jest zabijanie żołnierzy. Tamtą można było opatrzyć etykietą: Za Ojczyznę, ale tej drugiej nie da się niczym wyjaśnić.

Eryk wydawał się znudzony. Powiedział leniwie:

— Naiwna argumentacja. Dla Niemiec ważny jest tylko powrót na skradzione ziemie. Cena, za jaką to się dokona, nie jest istotna. Wiesz — ożywił się nagle — chciałbym bardzo pojechać tam właśnie teraz. Odczuć całą gorycz i cały ból utraty. Chciałbym usłyszeć jak ta ziemia jęczy żałością pod butami barbarzyńców, żeby kochać ją tym bardziej, kiedy powróci do nas na zawsze.

W kręgu światła oczy jego blyszczały podnieceniem; miękkie smugi cienia koło ust twardniały w zdecydowany, ostry kształt. Klaus wstał. Uważał rozmowę za skończoną.

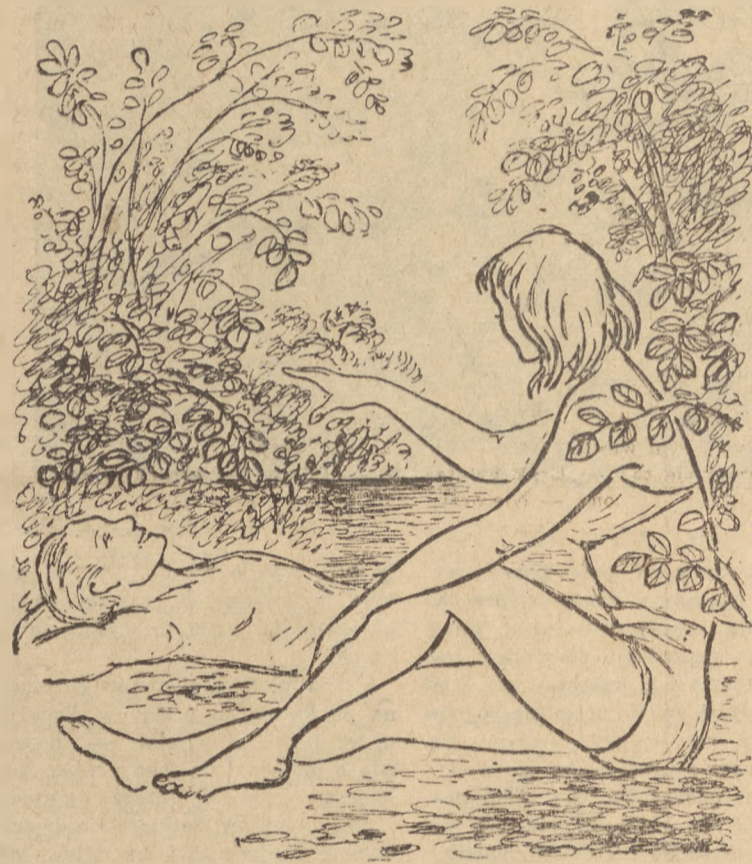
— No cóż. Jedź, jeżeli możesz — powiedział jeszcze. — Myślę, że to, co zobaczysz, przekona cię więcej niż nasza rozmowa. A jeżeli zdołasz nawet usłyszeć prawdziwy głos tamtej ziemi, to... — rozłożył ręce i uśmiechnął się lekko — to jedź jak najszybciej.

Eryk wstał również. Odzyskał już zupełnie pewność siebie. Wyprostował się jeszcze bardziej niż zwykle i zrobił taki ruch ręką, jakby chciał poprawić pas i pistolet.

— Stare przyzwyczajenie. Wszedł mi to już w krew. Ale jestem zadowolony z tego. Przynajmniej nie będę potrzebował przyzwyczajając się znów do munduru. Będę się po prostu czuł tak, jakbym tylko przebrał się do opery w cywilne ubranie — poklepał z zadowoleniem Klauza po ramieniu. — A tam pojedę na pewno i o niczym innym się nie przekonam, jak tylko o tym, czego jestem już dawno pewny. No...

— Idźmy — dokończył Klaus.

Kiedy zakładali w garderobie piasek usłyszeli głośnie brawa i pierwsze dźwięki muzyki. Nad gwarem kilku instrumentów coraz wyraźniej panował jasny i czysty ton klarnetu, który stawał się coraz wyższy i pełniejszy, aż w końcu frazy opadł w miękkim, długim glissandzie i ucichnął na tonie podjętym natychmiast przez trąbkę. Fortepian nie głośniejąc improwizacji powtarzał równo i soczyste dixialandowe akordy.



Uż z okna wagonu zobaczył jeziorek. Leżało gdzieś w dole leniwie rozciągnięte w słońcu, okolone żółtymi, kamiennymi brzegami. Wszystko było tak jak wtedy: mała stacyjka, a naokoło tylko góry i lasy. I tafla wody przetkana złotymi błyskami światła...

Z pociągu wysiadł sam. Otoczyła go senna cisza, w której jakby zachowało się coś z tamtych dni. Czas przeszedł niepostrzeżenie obok znajomych kształtów zboczy i wznieśnień, obok cienistej drogi wśród zielonych drzew i dalekiego pasma gór zamykającego widnokrąg. Eryk długo patrzył ponad jeziorem na drugi brzeg, gdzie na wznesieniu wychylał się spośród świerków i wiązów ciemnowy dach domu. Idąc, mógł go prawie stale obserwować. Dopiero kiedy wszedł na zapórę, spinającą wygiętą kłamarą dwa pasma wzgórz, przysłoniły go drzewa i krzewy. Upał ściekał z omdlałych liści, a w nieruchomym powietrzu tężala niepokojąca woń zmęczonych kwiatów i trawy, kiedy doszedł do wzniesienia. Wolno wchodził po schodach. Nie czuł ani upału, ani ciężkiego zapachu ziół. Teraz każdy krok miał swoją wymowę, każda chwila zbliżała go do dni, które były kiedyś żywym kształtem na tych właśnie schodach, w tym domu, do którego idzie, w tym lesie, który opadał z brzochem do jeziora...

Tylko cisza była inna. Wtedy nigdy nie było jej tutaj. Eryk przystanął. Wyjął papierosa; dym z zapalonego papierosa rozsunął się wolno i leniwie. Oparł się o poręcz i patrzył na gęste smutki. Chciał chociaż przez chwilę mieć złudzenie, że jeszcze nic się nie stało, że to, co było kiedyś, jest właśnie teraz: zaraz wejdziesz na szczyt schodów i zobaczysz małe, kwadratowe okienka na piętrze...

Dlatego stał. Bał się, że nie ma już tych okien, że widział będzie tylko wybite szyby i wyrwane z zawiasów drzwi. Ziemia była przecież w rękach barbarzyńców...

Papieros się kończył. Rzucił niedopałek na kamienny stopień i starannie rozdeptał nogą. Wtedy właśnie zbiegły z góry pierwsze tony Preludium; miętko wsunęły się w ciszę i nie roztraściły jej, ale trwały jak jej część, rozbiegane dźwięki stapiały się w równy, jednobrzmiący akord.

Nie wchodził już dalej. Nie chciał oglądać kwadratowych okien na piętrze; wiedział teraz, że są w nich całe szyby i że nikt ich tutaj nie wybi-

Przypieszył kroku. Starał się iść cicho, żeby nie ploszyć utajonych w ciszy głosów, mówiących do niego inaczej niż deszczowe tony z domu, w którym kiedyś mieszkał, z fortepianu, na którym kiedyś grał...

Ostrożnie zszedł po zboczu. Wysokie, osłaniające łączkę od lasu krzewy stały tak, jak wtedy. Szepnął strumyk. To już...

Rozchylił gałęzie. Uśmiech stęzał mu nagle na ustach, a podniecone bicie serca urwało się nierównym taktom. To była jedyna chwila w której chciał skoczyć naprzód, krzyknąć, bić i wypędać. Nagła, namiętna wściekłość opadła w nim jednak natychmiast. Poczł się jakiś zduszony, mały i bezradny. Miejsce, które uważał za swoje, wyłącznie swoje i Moniki, było zajęte; na złotych ramionach dziewczyny leżał gorący blask słońca, obejmował jej długie, smukłe nogi, biodra, szyję, opierał się na przymkniętych oczach, ciepłej, czerwonej linii ust i ginał w miękkiej, ciemnej fali włosów. Zdawało się, że nie słuchała, co mówił jej towarzysz, ale kiedy skończył, uniosła się na łokciu i Eryk usłyszał jej niski, melodyjny głos. Pierwszych słów nie rozumiał. Może dlatego, że sam dawno nie mówił po polsku, a może tylko z tego powodu, że w tym miejscu chciał usłyszeć inny głos: niezapomniany nigdy głos Moniki. Teraz jest tu tamta dziewczyna... Przetarł ręką czoło. Było znowu wilgotne. Coś zapadało się w nim, gasło i kurczyło. Nie zerwał się, nie stanął nad ludźmi, którzy zabrali mu jego najbardziej własny skrawek ziemi. Nie potrafił już zdobyć się na krzyk protestu, jakby uznał, że tamci mieli prawo tu być. A jednocześnie nie mógł odejść, jakby był pewien, że jeszcze coś się stanie, chociaż wiedział, że najważniejsze już się dokonało. Świadomość utraty była zbyt wielka i przetrastała zdolność zrozumienia tego, co rzeczywiście utracił: wspomnienia tylko, czy prawo do ziemi, na której powstały. Był zupełnie pusty i w tą próżnię mogły zapadać słowa, które teraz dopiero zaczynał pojmować; dalekie, dawne słowa Klauza i te, które słyszał teraz...

— Może lepiej byłoby z tamtej strony jeziora, wiesz, w tym miejscu gdzie jest taki ostry zakręt szosy. Mielibyśmy szerszy widok i bardzo blisko do wody — wyciągnęła rękę i zerwała mały, niebieski kwiatek. Drobne, wonne płatki zwisały bezwładnie na cienkiej łodyżce. Przyglądała się im długo zanim znów powiedziała:

— To przecież dopiero dwa tygodnie upłynęły od naszego przyjazdu. Żal będzie wracać. I szkoda zostawić to wszystko — przesunęła ręką dokoła i Eryk znów zobaczył zielone świerki na stromych brzegach, żółtawe skały unurzane w niebieskawej, nieruchomej wodzie i czyste, spłowiawe od żaru niebo. Nigdy nie przypuszczał, że tak szybko otrzyma odpowiedź na pytania, jakie nie przestały mu się narzucać od rozmowy z Klausem. Zaczynał powoli rozumieć, że w tym czasie, kiedy on tylko czekał, wyrosli nowi ludzie, o których nigdy nie brał pod uwagę. Zapomniał, że istnieją, a teraz miał ich przed sobą, o kilka kroków. Leżeli na trawie i marzyli o własnym domu. Budowali go na ziemi, którą on uważał za swoją własność. Znowu zaczynał zrywać się w nim bunt, ale całe miesiące zakłamania, w których rozkazał sobie mówić inaczej i myśleć inaczej, nie pozostały bez skutków. Opanował się szybko, ale jednocześnie odczuł całą gorycz zawodu. Wszystko, co robił ostatnio: przejście do wschodniej strefy Berlina, cały wysiłek skierowany na to, żeby zatrzeć za sobą ślady i osiągnąć zamierzony cel, okazał się daremny. Kiedy jako wybitny sportowiec zgłosił swój udział do rozgrywanych we Wrocławiu eliminacji międzypaństwowych, nie spotkał się z trudnościami. Formalności trwały krótko i Eryk zwyciężył. Był na ziemi, o której nigdy nie przestał myśleć. Co innego jed-

Zamiast ugorów i ruin zobaczył ponak spodziewał się zastać za Odrą. la złote od kłosów i odbudowane miasta. Teraz zobaczył ludzi. Tych, których spotykał w wagonach, nie dostrzegał. Nie istnieli dla niego, tak jak nie istniało nic oprócz pragnienia powrotu nad jeziorek. I tu dopiero poczuł się naprawdę intruzem, teraz, kiedy zrozumiał, że jego czas już minął. Dotąd wszystko było takie proste: odebrać siłą! Teraz jednak...?

Nisko nad ziemią leżał ciężki zapach trawy. Skrzydełka przelatującej pszczoły wydawały szklisty, ostry dźwięk. Dziewczyna mówiła coś jeszcze o tarasie przed domem, o czerwonych dachówkach...

— I jeszcze chciałabym mieć dużo kwiatów w ogrodzie, ale — zawahała się i nagle uniosła na łokciu. — Czy ty jesteś pewny, że my tu naprawdę będziemy mieszkali? — powiedziała to szybko, zmienionym jakby głosem. — Czy jesteś zupełnie pewny?

Eryk drgnął. Instynktownie podniósł głowę, ale nie mógł dostrzec twarzy dziewczyny. — Więc jednak...?

Kończyła tym samym, podniesionym nieco głosem:

— Nie dziw się, że mówię, ale boję się o nasze szczęście. Wiesz, słuchałam kiedyś sprawozdania z wiecu z tamtej strony Niemiec. Krzyżowali, że muszą wrócić... i wtedy dopiero uświadomiłam sobie. Co ty myślisz o tym?

Kiedy mężczyzna odwrócił głowę, żeby odpowiedzieć, Eryk przez zasłonę z liści zobaczył jego oczy, ale nie odnalazł w nich niepokoju, chociaż chciałby go zobaczyć.

— Co myślisz? — przesunął się znowu na plecy i ramiona podciągnął pod głowę. — Myślę, że zapomniałaś o innych Niemcach. O tych, którzy już zrozumieli. Bądź pewna, że jest ich wielu nawet po tamtej stronie.

Głowa wydała się nagle Erykowi bardzo ciężka. Opuścił ją nisko. Wiedział, że to, co usłyszał, było prawdą. Sam znał przecież takich ludzi. Było ich coraz więcej i nosili nawet żelazne krzyże...

Kiedy podniósł oczy, już wstawali. Przekreślili swoimi sylwetkami zieloną wódę jeziora.

— Musimy już płynąć — powiedziała dziewczyna. — Spóźnimy się chyba na obiad, jeżeli nie będziemy szybko wiosłowali.

Zeszli po skałach w dół. Eryk nie widział ich już, ale słyszał szelest osypujących się kamieni i przyciszzone głosy. Dopiero po długiej chwili ukazała się na wodzie mała sylwetka kajaku. W kropkach wody ociekającej z podnoszących się i opadających równo wiosel rozblyskiwało tysiąc małych słońc.

Kazimierz Radowicz



Słefania Skwarczyńska
STUDIA I SZKICE LITERACKIE
Cena zł 45.—

Sigrid Undset
OLAF SYN AUDUNA

2 tomy

Cena zł 76.—

Janina Kolendo
SZUKAJAC DROGI
Cena zł 20.—

Tadeusz Gaicy
UTWORY ZEBRANE
Cena zł 25.—

J. Nowak-Dłużewski
Ks. STANISŁAW KONARSKI
Cena zł 20.—

Tadeusz M. Milewski
GEOGRAFIA WYZYWIENIA
Cena zł 25.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „PAX”,
Mokotowska 43. Warszawa, za
zdaniem lub po wpłacie na kon-
to PKO Nr 1-8515 z dołączeniem
zł 3.— na koszt przesyłki.

Kazimierz MORAWSKI

MŁODE RĘCE KOPALNÍ

KTÓREGOŚ dnia o piątej z rana ktoś nieśmiało zapukał do komórki Adolfa.

— Adolf, jesteś? — zapytał jakiś kobiecy, tłumiony płaczem głos.

— Matka, to ty?

— Wstawaj ino szybko i chodź; ojciec dziś zmarł w nocy.

W drzwiach stała siwa kobieta o pooranej zmarszczkami twarzy.

— Adolf, słuchaj no, Kuczyński powiedział, że po śmierci nasz stary już go nie obchodzi i koni ani wozu nie da na odwiezienie zwłok. Może ten twój Czechorowski trochę lepszy?

— Da on tam akurat, a zresztą boję się w ogóle go o to pytać.

Nie ma co nawet medytować, musimy ojca własnymi siłami pochować, tylko nie wiem czy on — wskazał ręką na czerwony murawianiec w podwórzu — zwolni mnie na pogrzeb, bo siano mamy dziś i jutro zwozić z łąki.

Następnego dnia, zanim jeszcze słońce wyjrzało zza horyzontu, dwójce ludzi lichy odziany szło powoli w kierunku lasu, dźwigając na rękach zawinięte w szmaty ciało zmarłego człowieka. Na drodze i okolicznych polach było jeszcze pusto. Psy tylko zawzięcie ujadły w chłopskich obejściach, rozrzuconych rzadko wzdłuż drogi. Podmuchy porannego wiatru niesły od łąk ostre zapach świeżo skoszonej trawy. Ten dziwny kondukt pogrzebowy zatrzymał się wreszcie na skraju lasu. Adolf szybko wykopał łopatą prostokątny dół w ziemi, po czym razem z matką na jego spodzie ułożyli ciało zmarłego. Ukłękli oboje przed nie zasypaną mogiłą, żegnając ojca cichą modlitwą. Modlili się bardzo długo, jakby chcąc w ten sposób zastąpić uroczysty obrzęd pogrzebowy. Prosić księdza w tych warunkach nie mieli odwagi. Skoro obaj pracodawcy odmówili wozu i konia, nie było możliwości przewiezienia zmarłego na cmentarz odległy o 8 kilometrów.

Gdyby nie mały krzyżyk sklecony z gałęzi przez Adolfa, nikt by się nie mógł domyślić, iż pochowano tu kiedyś człowieka.

Adolf Dreiss, syn bezrolnego wyrobnika, od młodości pracujący na służbie u bogatych gospodarzy — rósł i wychowywał się w atmosferze strachu i pracy ponad siły. Nie też dziwnego, że nie mieścił w swojej głowie możliwości jakiegokolwiek buntu przeciwko krzywdzie, której w dodatku nie potrafił sobie w pełni uświadomić.

O zasadniczym zwrocie w życiu Dreissa zdecydował pozornie biały wypadek, a jak się później okazało, posiadający w konsekwencji przeogromne znaczenie dla dalszych losów chłopca. Oto bowiem któregoś wieczora, w parę miesięcy po śmierci starego Dreissa, u Czechorowskiego zjawili się dwóch młodych ludzi z powiatowej komendy Służby Polśce. Wiedzieli skądś, że u niego pracuje Dreiss. Rozmowa z Czechorowskim była burzliwa. Gospodarz twierdził wciąż uparcie, że chłopak ani myśli o zmianie pracy i że jest mu potrzebny w gospodarstwie, więc nie może się zgodzić na zwolnienie go z pracy. Agitatorzy SP nie ustępowali, chcieli rozmawiać z samym Dreisse, ale i to nie przyszło łatwo, bowiem gospodarz umyślnie wysłał chłopca po sprawunki do sąsiedzi. Przyszli więc parę dni później, usiedli z Dreisse w jego komórze koło obory na drewnianym łóżku zastanym słomą, proponując w rozmowie kursy górnicze i potem pracę w kopalni. Opowiedzieli mu o szacunku pionierskim, o dużych możliwościach, jakie go czekają w nowym zawodzie, powiedzieli też, że postarają się, aby zmusić Czechorowskiego do wypłacenia zaległych zarobków. Chłopak nie wiedział, co odpowiedzieć. Początkowo bał się Cze-

chorowskiego, bał się samodzielnie decydować, nigdy tego w życiu nie robił. W końcu ustąpił i wyraził zgodę. Możliwość stałej pracy i dobrego wynagrodzenia pociągała chłopca. Nie wiedział wprawdzie dokładnie, dlaczego pojedzie do kopalni i co właściwie będzie robił, skoro umiał tylko krowy pasać i gnój wywozić, ale w każdym razie cieszyła go myśl, że wreszcie może kupić sobie lepsze buty i ubranie.

WŚRÓD dużej grupy górników oczekujących na windę w kopalni Mysłowice stało kilkunastu młodych chłopców odróżniających się od reszty świeżością swych kombinizonów i hełmów, a przede wszystkim wiekiem.

— Pierony, a nie macie czasem zapalek ani papierosów ze sobą? Sprawdzicie tylko jeszcze raz, a dokładnie swe kombinzone — krzyknął groźnym głosem jeden z górników stojących z boku.

Zaterkotał dzwonek i winda zatrzymała się tuż przed nimi. Weszli do małej kabinki. Zrobiło się tłoczno, a z góry sączyła się nam na głowę woda. Znowu dzwonek i winda zaczęła kolebić się na boki zjeżdżać w głąb szybu, strącając za sobą kawałki węgla. Ogarnął nas nieprzekonany mrok kopalni. Winda nabrała teraz tempa i jechaliśmy z coraz większą szybkością.

— Adolf, no i co, nie boisz się? — szepnęła cicho jeden z chłopców do stojącego obok kolegi. Tymten nie zdążył odpowiedzieć, bowiem winda szarpnęła ostro, zatrzymała się i uwagę początkujących górników przykuł nowy widok. Byliśmy w kopalni na 600 m pod ziemią. Powietrze było duszne ale ciepłe. Chłopcy wyskoczyli z windy i ulokowali się w małych wagonikach kolejki elektrycznej, którą niebawem ruszyliśmy w stronę chodnika.

Młody, ale widocznie doświadczony już górnik opiekujący się grupą chłopców z pionierskiego zaciągu, stale indagowany najróżniejszymi pytaniami, wyjaśniał szczegółowo tajniki pracy pod ziemią. Chłopców interesowało wszystko. Młode oczy chciały wchłaniały nowe zupełnie dla nich widoki.

Siedzący koło mnie barczysty, o szerokiej, wyrazistej twarzy Dreiss nie mógł się doczekać momentu spotkania z węglem, którego jakoś wciąż nie było widać. Jechaliśmy obmurowanym tunelem, wiodącym do przodka. W pewnym momencie Dreiss rozjeżdżawszy się uprzednio, czy ktoś z górników nie słucha, uniósł do góry swą dużą głowę i nachyliwszy się ku mnie szepnął:

— Jedno mnie tylko złości w tej kopalni, że ci górnicy nijak inaczej nie mogą się do człowieka odezwać, jak „ty pieronie“. U nas, na wsi, różnie ludzie gadają, ale takiego okropnego słowa nigdy nie słyszałem. Nie mogę się do tego przyzwyczaić.

Nie zdążył jeszcze dokończyć zdania, kiedy krzyknął ktoś z boku:

— Pieronie jeden, jak nie chcesz, żeby cię szlak trafił, to nie wychylaj łba i siedź spokojnie, widzisz, że druty są z wysokim napięciem.

Chłopak chciał coś złosliwego odpowiedzieć, lecz rychło zaniechał pierwotnego zamiaru. Przykucnął i zamilkł. Górnik miał przeciw rację. O włos, a dotknąłby sztywną przewodów wysokiego napięcia. Ale górnik powiedział „pieronie“ i to Dreissa irytowało.

Po dwudziestu minutach jazdy byliśmy na miejscu. Zrobiło się zupełnie ciemno, nie spotykaliśmy już żarówerek na ścianach. Chłopcy zapalili swe górnicze lampy, poprawili na głowie przeważnie za duże, spadające na oczy hełmy i ruszyliśmy już chodnikiem wyrąbanym w węglu. Po-

wietrze stało się duszne i ciężkie. Nasiąknięte było pyłem węglowym, cisnącym się do oczu, uszu i nosa. Szliśmy wszyscy umazani od stóp do głów.

Chłopcy wczoraj mieli wykłady w swej szkole o wybieraniu węgla na przodku, o strzelaniu i wierceniu, dziś to samo, tylko w kopalni.

Raptem wstrząsnęło nami i całą kopalnią. Dokoła zrobiło się szaro od pyłu. Olbrzymia bryła węgla zaczęła obsuwać się niemal wprost na nas. Z góry sypał się nam na głowy, chronione na szczęście hełmami, miał węglowy.



Fot. C.A.F.

Niektórzy z chłopców poczuli się w tym momencie trochę niepewnie. To, co dla starych, wytrawnych górników jest naturalnym zjawiskiem towarzyszącym ich pracy — młodym nowicjuszom znajdującym się po raz pierwszy w kopalni wydaje się wypadkiem zagrażającym ich życiu. Opiekun uśmiechnął się tylko dobroliwie do chłopców, starając się rozwiać wszelkie ich obawy, następnie wyznaczył stanowiska w pracy. Dreiss stanął przy świdrze, wypadło mu zacząć dzień od najtrudniejszej pracy w kopalni. Świder pneumatyczny zaczął powoli drażyć czarną skorupę węgla, tryskając na boki miazem.

KIEROWNIK ośrodka myśłowickiego krzątał się po budynku, biegał tu i tam, wydawał dyspozycje swym pracownikom, sprawdzał wartość kotłów w kuchni, z których już dużymi warzawkami kobiety przybrane w białe fartuchy czerpały gorącą zupę, rozlewając ją do talerzy ustawionych na stolikach w jadalni. Po chwili sala jadalna zaczęła zapelniać się gwarem i tupotem. Chłopcy przychodzili wprost z kopalni w zabrudzonych, zielonych kombinizonach. Apetyt po tak dużym wysiłku dopisywał wszystkim.

Przy jednym ze stolików siedli otoczony kolegami Dreiss. Przyjechał on do Ośrodka w Mysłowicach jako jeden z pierwszych z zaciągu pionierskiego. Początkowo nie czuł się tu najlepiej. Peszyli i oneśmielali go liczni koledzy, przybyli z najróżniejszych zakątków kraju. Dotąd żył właściwie samotnie, nie miał przyjaciół, nie miał do kogo otworzyć ust. Ponieważ nie umiał ani pisać, ani czytać, nie zajrzał w życiu do żadnej książki czy gazety. Jednak od razu koledzy otoczyli go troskliwą opieką, wciągnęli do pracy świe-

licowej, gdzie chłopak miał wszelkie możliwości rozwijania swych zdolności. Grupa chłopców, mieszkających z nim w jednym pokoju, zobowiązała się nauczyć Dreissa w możliwie najkrótszym czasie pisania i czytania. Starania kolegów z Ośrodka już niebawem przyniosły rezultaty.

BYŁO to w końcu stycznia w kopalni „Gottwald“ w Stalino-grodzie. W oddziale zajmującym się transportem drzewa stempłowego do kopalni od dłuższego już czasu istnia-

dzić starych znajomych z Mysłowic, przede wszystkim Dreissa, o którego sukcesach w pracy kilkakrotnie czytalem w notatkach prasowych na łamach stołecznych gazet.

Dreiss, Janiszewski, Krzyszczał, Molenda i jeszcze paru otoczyło mnie kołem w świetlicy Domu Młodego Górnika, opowiadając o swych sukcesach, wrażeniach z nowej pracy, planach na przyszłość. Wszyscy byli ubrani w nowe, ładne, szaro-niebieskie mundury górnicze z jedną belką na naramiennikach.

Oglądając estetycznie urządzone pokój, który Dreiss zajmuje wraz z dwoma jeszcze kolegami, spostrzegłem na małej półeczce, którą sobie własnym przemysłem zainstalował przy łóżku, sporą ilość książek.

— Po każdej wypłacie — opowiada mi — staram się część pieniędzy przeznaczyć na uzupełnienie nowymi pozycjami swej jeszcze dotychczas skromnej biblioteczki. A książki przecież dzisiaj tanie jak barszcz i można dużo ich kupować.

„Przedszkole“, jakie Dreiss otrzymał w Mysłowicach na kursie, jak również sumienna i gorliwa praca nad sobą — dały rezultaty i efekty już widoczne w konkretnej jego działalności.

Już dzieli się swymi wiadomościami, które zdobył mozolnym trudem z innymi.

— Niemalże każdego tygodnia — opowiada — mam pogawędki czy prelekcje w szkołach okolicznych na temat pracy górniczej, na temat sytuacji młodzieży w kopalniach. Ostatnio miałem też pogadankę na zebraniu w naszej kopalni, związaną z aktualnymi wydarzeniami w kraju i na świecie.

Opowiada mi to z taką szczerością, z taką satysfakcją, iż widać, że chłopcu obok pracy górniczej aktywność społeczna daje rzeczywiście wielkie zadowolenie.

Słyszając od kolegów Dreissa, że ostatnio nie jest najlepiej z jego zdrowiem — zwróciłem się do lekarza zakładowego.

— Adolfa mamy pod obserwacją już od samego przyjazdu. Jeszcze w Mysłowicach lekarz stwierdził u niego pewne niedomagania w sercu oraz lekkie objawy reumatyzmu w stawach. Po prostu, widzi pan, odbija się teraz na jego zdrowiu przepracowanie i skandaliczne warunki, w których przebywał u tego gospodarza. Rzecz jasna, stan jego wymaga skrzętnego nadzoru oraz unikania zbyt dużych wysiłków fizycznych. Ale cóż, kiedy mamy z nim kłopoty. Każemy mu leżeć — on biegnie do kopalni czy na zebranie. Z trudem zdołaliśmy go uprosić, aby pojechał na urlop zdrowotny do sanatorium.

Z jakimże smutkiem i goryczą mówił mi Dreiss o konieczności opuszczenia na jakiś czas kopalni i kolegów.

Przed naszym rozstaniem zwierzył mi się, iż w czerwcu albo lipcu weźmie pierwszy urlop i pojedzie do siostry na wieś. Do tego czasu chce sobie kupić nowy garnitur, zegarek, który już sobie upatrzył w sklepie, i rękawiczki skórzane.

— Chcę im pokazać na wsi, jaką ma przyszłość i możliwości młodzież idąca do kopalni. Niech wiedzą, że źle nam nie jest, że w miarę wzrostu wydajności naszej pracy powiększają się nasze zarobki.

Kiedy już miałem opuszczać kopalnię, nadeszła wiadomość, że ich kopalnia pierwsza w przemyśle węglowym wykonała kwartalny plan wydobycia węgla na trzy dni przed terminem. Dla Dreissa i jego kolegów była to ważna chwila. Cieszyliśmy się wszyscy, i ja, i oni. Przecież sukces kopalni był również i ich sukcesem, był zapłatą za ich ofiarną i wytężoną pracę. Zapłatą chyba najlepszą: dotrzymano pionierskiego słowa danego Ojczyźnie.

Mit o „jasnowłosym nadczłowieku”

ci, a nierzadko nawet w ogóle pozbawione logicznego sensu. Oto przykład:

Kamieniem węgielnym niemieckiej doktryny rasistowskiej było pojęcie „rasy aryjskiej”. Tym osławionym terminem żonglowali hitlerowscy uczeni i propagandziści ze szczególnym upodobaniem i przy każdej sposobności. Otóż nie trzeba wcale nadzwyczajnej wnikliwości, aby dostrzec, że „rasa aryjska” stanowi klasyczny przykład wyrażenia pozbawionego sensu. Bo zważywszy pod słowem „rasa” rozumie się po prostu grupę osobników zwierzęcych czy roślinnych, których łączy pewne określone pokrewieństwo biologiczne, uzewnętrzniające się w podobieństwie anatomicznym; rasa jest więc, podobnie jak np. rodzaj, czy gatunek, pewną jednostką klasyfikacyjną w systematyce organizmów; w tym i tylko w tym znaczeniu używa się terminu „rasa” w nauce; jest to zatem pojęcie par excellence biologiczne.

Natomiast słowo „aryjski” nie ma absolutnie nic wspólnego z biologią, jest bowiem zaczerpnięte z językoznawstwa; „ludy aryjskie” — to tyle, co: „ludy mówiące językami należącymi do grupy języków indoeuropejskich”. „Aryjskie” są zatem wszystkie np. narody słowiańskie, germańskie, romańskie — w odróżnieniu np. od żydów i Arabów, należących do semickiej grupy językowej. Tak więc przez doczepienie przymiotnika „aryjski” pogwałcone zostaje w rażąco sposób przyjęte w nauce znaczenie terminu „rasa”, a całe wyrażenie „rasa aryjska” ma ostatecznie skutki tylko samego sensu, co np. wyrażenie „ze zwołania astronomii”, czy „inteligentny gwóźdź”. A od tego typu dziwolągów aż się roi w rasizmie niemieckim! Jak dalece płatano kategorie antropologiczne z etnicznymi, psychologicznymi czy geograficznymi — świadczyć może między innymi historyjka, którą w swych pamiętnikach opowiada faszystowski minister spraw zagranicznych, Ciano. Kiedy nianowicie po pierwszym ciężkim ataku bombowców alianckich na Neapol doniesiono Mussolinemu o poważnych stratach wśród ludności cywilnej miasta, „Duce” oświadczył po chwili milczenia: „Parę takich nalotów wcale nie zaszkodzi, może się nawet przydać; jestem pewien, że neapolitańscy cy przez nie zrodzą się”. Glupoty tych słów, wypowiedzianych zresztą z całkowitą powagą i w dobrej wierze, nie trzeba nawet tłumaczyć.

Idźmy jednak dalej tropem myśli rasistowskiej. Otóż charakterystycznym przedstawicielem owej wymaginowanej „rasy aryjskiej” miał być, zdaniem hitlerowców, wspomniany już parokrotnie tzw. nordyczny typ człowieka białego, który rasiści niemieccy, aby już do reszty nasiąść pojęciowego zamieszania, nazwali „typem germańskim” (co jest, oczywiście, nowym dziwolągami z kategorii „zwołanych astronomii”). Ze względu na centralną rolę, jaką zagadnienie typu nordycznego odgrywa w ideologii rasistowskiej, musimy się nad nim chwilę zatrzymać.

Typ nordyczny jest jednym z typów antropologicznych, albo inaczej typów rasowych, na które dzieli się biała odmiana człowieka współczesnego. Nordyków znamy wszyscy dobrze, bo nie brak ich w Polsce, zwłaszcza w Polsce północnej. Są to ludzie wysocy, smukłej budowy, o długich stosunkowo kończynach, niebieskoccy i jasnowłosi — przy czym włosy są jasnobłond z odcieniem popielatym, faliste, czasem kędzierzawe; twarze są pociągłe, nosy proste; skóra nordyków jest silnie odpigmentowana (zawiera b. mało barwnika) i dlatego nordycy mają cerę jasną, czasem z odcieniem różowym, na skutek przeświecania naczyń krwionośnych, trudno opalającą się. Ścisła definicja typu nordycznego, stosowana w antropologii, po-

daje jeszcze ponadto szereg cech kranio-metrycznych i innych — już jednak cechy wymienione powyżej tworzą razem zespół tak charakterystyczny i rzucający się w oczy, że „rasowego” nordyka można na ich podstawie poznać niemal na pierwszy rzut oka, bez uciekania się do specjalnych pomiarów kształtu głowy, nosa itd.

Ten właśnie typ nordyczny miał być, według hitlerowców, charakterystycznym składnikiem ludności Niemiec — co jest kłamstwem, gdyż równie często występuje on np. w Anglii, Holandii, Polsce, północno-zachodnich rejonach ZSRR — a kraje skandynawskie i Finlandia mają nawet znacznie wyższy procent nordyków niż Niemcy. Drugim kłamstwem rasiistów było twierdzenie — i tu dochodzimy do sedna rzeczy — że typ nordyczny jest rzekomo lepiej „wyposażony biologicznie” od innych. Hitlerowcy przypisywali mu przede wszystkim wręcz „geniusz organizacyjny” i „zdobywczość”, a dalej wysoką inteligencję, wielką wolę, odwagę, przedsiębiorczość — i jeszcze z pół tuzina innych zalet dowodzących jego nieporównanie wyższej sprawności umysłowej i fizycznej. Co w sumie kwalifikowało nordyka do miana „najwartościowszej” kategorii człowieka i nakazywało każdej kropki „krwi nordyckiej” strzec jak oka w głowie.

Otóż cała ta „teoria” jest całkowicie bezpodstawa i nie może się wylegitymować żadnym poważnym uzasadnieniem empirycznym. Pomijając poszczególne typy antropologiczne istniejące, prawdopodobnie, obok siebie w budowie ciała, także i różnice psychiczne. Nie jest to zresztą jeszcze wcale pewne — dziedzina ta, psychoantropologia, wymaga bowiem szczególnie subtelnych i skomplikowanych metod badawczych. Jeżeli takie różnice w ogóle istnieją — to w każdym razie dotyczyć one mogą wyłącznie tego, co nazywamy temperamentem. Sprawa jest jednak, podkreślić trzeba, daleka od ostatecznego wyjaśnienia; tak czy owak — jedno możemy orzec z całkowitą pewnością: nie ma żadnego związku między typem antropologicznym a uzdolnieniami. Twierdzenie, jakoby inteligencja, talent organizacyjny, odwaga zależały od barwy włosów czy kształtu nosa — to nie innego, jak wyszana z palca bajeczka, której fakty zadają kłam na każdym kroku. Wszelkie czynione przez antropologów próby znalezienia jakiejś korelacji (zależności statystycznej) między cechami rasowymi człowieka a jego sprawnością umysłową — zawiodą na całej linii. Nieprawdą jest, jakoby typ nordyczny był w jakikolwiek sposób uprzywilejowany biologicznie i miał monopol na talenty i inteligencję. Tezie takiej przeczy przede wszystkim cała historia kultury: wśród wielkich twórców, a więc ludzi o wybitnie ponadprzeciętnej sprawności umysłowej, mamy przedstawicieli najrozmaitszych typów antropologicznych; żaden z tych typów liczbowo nie dominuje!

AMERYKAŃSKI SUPERMAN

Hitlerizm runął, ale nie po grzebał pod swymi gruzami rasizmu. Przeciwnie, po drugiej wojnie światowej idee rasistowskie znalazły sobie nowe, jeszcze wygodniejsze przytulisko i jeszcze potężniejszych protektorów — w USA. Gdyby się pokusić o możliwe lapidarną charakterystykę rasizmu amerykańskiego — trzeba by powiedzieć, że jest to właściwie rasizm hitlerowski, ale w jeszcze wulgarniejszym i prymitywniejszym wydaniu. W Stanach Zjednoczonych zyskał sobie od kilku lat prawo obywatelstwa wyraz „superman”, będący dosłownym tłumaczeniem niemieckiego „Übermensch”. Jak sobie Amerykanie wyobrażają „nadcześniaka”? Przypnieć trzeba, że kanony są dość jasno określone. Prze-

Ciąg dalszy ze str. 2

de wszystkim wzrost. Osobnik kandydujący do tytułu „supermana” (wchodzą tu zasadniczo w rachubę tylko mężczyźni) powinien mieć co najmniej 185 cm długości. Ponadto wymagana jest odpowiednia szerokość w barach i obowiązkowa „square jaw” — kwadratowa szczęka. Co do uwłosienia, to jeszcze niedawna osobnik ten był smolistym brunetem z cienkim wąsikiem nad górną wargą; natomiast ostatnio krzykiem mody jest właśnie niebieskooki blondyn! Jest to więc zupełnie wyraźne nawijanie do „wypróbowanych” wzorów hitlerowskich. Tyle, że co do walorów wewnętrznych nie stawia się w USA już tak wysokich, jak w Niemczech wymagań. Pożądane są tylko przymioty wynikające z kodeksu „American style of life”. A więc: tupet, nonszalancja i brutalność, umiejętność zwalania z nóg jednym ciosem w szczękę, żucie gumy, dobra technika jazdy samochodem i — rzecz jasna — odpowiednia doza „wykształcenia erotycznego”. O tego zaś rodzaju „europejskich przesądach” jak inteligencja nie ma we wspomnianym kodeksie wcale mowy. Bo i po co?

Od tej beznadziejnie płaskiej, głupiej sztampy „supermana” roi się wszędzie, gdzie spojrzeć. Pełno jej w tygodnikach, powieściach, comicsach, filmach; „superman” w kowbojskim kapeluszu i z ogromnym Coltem w łapie wabi z afisza kinowego, obiecując niezapomniane emocje; „superman” w piżamie w zielone i pomarańczowe groszki, z gębą rozciągniętą w oślnie wajającym uśmiechu, reklamuje w bajecznie kolorowych czasopismach nową pastę do zębów, elektryczne maszynki do golenia, nowe superpodwiązki; „superman” w stalowym hełmie piechoty morskiej, w rozchełstanej na piersiach zielonej koszuli, z przylepionym do dolnej wargi papierosem i przerzuconym niedbale przez ramię pistoletem maszynowym — nie sie w kronikach z Korei „wołność”, „uciśnionym”... I tak dalej, i tak dalej — w nieskończoność szaleje wielka, zorganizowana kampania masowego oghupiania; bez przerwy, uparcie, systematycznie; i nie bez rezultatów, niestety.

Ale na tej dziecinniej dla nas i w gruncie rzeczy groteskowej legendzie o „supermanie” nie kończy się repertuar amerykańskiego rasizmu; jest jeszcze druga strona medalu, w której rasizm ten ukazuje swe prawdziwe, zwierzęce oblicze.

O „UMYSŁOWEJ NIĘSZOŚCI MURZYŃÓW”

TEORIE” na temat rzekomej niższej „intelektualnej ludów kolorowych” nie są wynalazkiem nowym. Wskazywaliśmy już na to, że od zarania historii rasizm stanowił istotny element składowy całej doktryny; wloką się jak ponury cień za „mitem o nordyku” i „mitem o słowiańskiej rasie niewolników”. I w tym wypadku mamy więc do czynienia ze „starymi tradycjami”. Rasizm hitlerowski, aczkolwiek teoretycznie podpisywał się oburącz pod koncepcją niższości ras kolorowych, traktował to zagadnienie, ze zrozumiałych względów geograficznych, raczej dr goplanowo. Lata ostatnie znowuaktualizowały sprawę. Cała koncepcja odżyła i przechodzi swój maksymalny rozkwit właśnie w chwili obecnej i właśnie na gruncie amerykańskim, gdzie występuje ona w postaci tzw. „Negro-problem” — kwestii murzyńskiej. W związku z tym nie od rzeczy będzie wspomnieć po krótko o wynikach przeprowadzonych ostatnio w USA masowych pomiarów inteligencji — wyniki te bowiem rzucają na

interesujący nas problem niezwykle ciekawe światło.

Pomiary wspomniane przeprowadzane były metodą testów i pozwały na obliczenie, za pomocą pewnych specjalnych metod, tzw. wskaźnika inteligencji, oznaczanego krótko symbolem „I”. Nawiasem dodajmy, że materiał obejmował kilkadziesiąt tysięcy osobników, pozwala więc w zupełności na wyciąganie wniosków ogólnych z bardzo wysokim prawdopodobieństwem. A oto rezultaty tych pomiarów: nie stwierdzono żadnej korelacji między „I” a barwą włosów. Stwierdzono natomiast, że Murzyni amerykańscy wykazują średnio „I” niższe niż biali. Wskazywało by to, że inteligencja jest rzeczywiście uwarunkowana rasowo. Reakcyjna prasa amerykańska podniosła z miejsca radosny wrzask: niższość umysłowa czarnych jest udowodniona! Radość okazała się jednak bezpodstawa, dokładniejsza analiza materiału doprowadziła bowiem do wniosku, że korelacja między barwą skóry a inteligencją jest pozorną. Okazało się mianowicie, że różne stany dawały różne średnie „I” (choć w obrębie każdego stanu Murzyni zawsze ustępowali białym), przy czym, rzecz zmienna, „I” stanów południowych było wyraźnie niższe od „I” stanów północnych. Różnice te były tak duże, że Murzyni z Północy wykazywali się średnim „I” wyższym niż biali z Południa! Jeżeli wziąć pod uwagę, że stany południowe znacznie ustępują północnym w ogólnej stopie życiowej — ten pozornie niezrozumiały rezultat otrzymuje natychmiastową, efektywną interpretację: istnieje rzeczywista korelacja między „I” a warunkami środowiskowymi; niższych średnich wartości „I” u Murzynów nie wolno kłaść na karb „rasy”; przyczyną tkwiącą w ekonomicznym i społecznym upośledzeniu Murzynów w USA. Jeżeli zresztą porównać przypadające na głowę ludności murzyńskiej wydatki na oświatę z odpowiednią sumą obliczoną dla białych — niższe „I” Murzynów amerykańskich stanie się aż nadto zrozumiałe.

Wszystkie te wnioski w całej rozciągłości potwierdza codzienna praktyka społeczna. Murzyni, którym udało się zdobyć odpowiednie wykształcenie i zająć potem jakieś odpowiedzialne stanowisko w społeczeństwie, wykazują energię, inteligencję i pomysłowość wcale nie niższą od naszej i z zadań swych wywiązują się nie gorzej niż biali, a często nawet lepiej, bo trudniejsze warunki „startu życiowego” już we wczesnej młodości wyrobiły w nich zwykle większą ambicję i pracowitość. Opowiadania o rzekomych nieprzewidywalnych trudnościach, jakie ciemnoskórym uczniom i studentom sprawia posługiwanie się np. abstrakcyjnymi pojęciami matematycznymi — są bajeczką obliczoną na łatwowierność słuchaczy. Tubylcy australijscy, przedstawiani przez rasistów jako najprymitywniejsza z ras ludzkich, jeśli ich kształcił systemem europejskim (od 7-go roku życia) — umiemy potem, za lat kilkanaście, rozwiązywać równania różniczkowe równie biegle, jak ich jasnowłosi i jasnoskórzy koledzy!

GDZIE ŻRÓDŁA?...

TAK więc okazuje się, że nie wytrzymuje krytyki nawet i ta „ładniejsza” i możliwsza, zdawało by się, do przyjęcia teza rasizmu, która mówi nie o wyższości elementu nordycznego, lecz w ogóle o wyższości odmiany białej. Rasizm jest teorią od początku do końca fałszywą — a jednak propaguje się go w krajach kapitalistycznych z niesłabnącym unorem. Na wickości uniwersytetów zachodnich, zwłaszcza w USA, kwitnie on jawnie i w swych najbrutalniejszych formach. Murzynom i mulatom, sta-

nowującym blisko 15% całej ludności USA, utrudnia się lub zgoła uniemożliwia średnie i wyższe wykształcenie, nie wpuszcza się ich do kin, hoteli, restauracji, bibliotek, przesładuje, szykanuje i upokarza na wszelkie sposoby. Młodym Amerykanom wpała się na każdym kroku pogardzić i nienawidzić zarówno do „czarnej”, jak i „żółtej hołoty”. Stoimy więc oto wobec wysoce zastanawiającego faktu: doszczętnie skompromitowana teoria, która już dawno już należy się miejscu w rupieciarń niudanych pomysłów naukowych — jest lansowana wszelkimi metodami i nie schodzi z widowni ani na chwilę! Dlaczego? Gdzie są tego przyczyny?

Zagadka nie jest trudna do rozwiązania. Popularność rasizmu tłumaczy się po prostu jego przysadnością polityczną dla współczesnej, imperialistycznej fazy ustroju kapitalistycznego. Rasizm jako „naukowa”, szeroko rozdywaniona teoria, jest klasom rządzącym na Zachodzie potrzebny do usprawiedliwienia nieludzkiego wyzysku wobec setek milionów kolorowych ludzi w koloniach i półkoloniach. Rozumuje się oto tak: jeżeli ludy te stoją niżej umysłowo, to niepotrzebna im jest oświata, niepotrzebne podnoszenie kwalifikacji zawodowych ponad konieczne minimum; wystarczy im niższe płace i gorsze warunki higieny pracy — no, bo przecież ludzie przez samą przyrodę ograniczeni psychicznie nie mogą mieć takich potrzeb, wymagań i aspiracji życiowych, jakie mają Europejczycy... Komu takie wnioski są na rękę — tego również długo zgadywać nie potrzeba. Plantatorzy i przemysłowcy w koloniach zyskują prawie darmową siłę roboczą; zyski są więc tym grubsze. Wszystko to jest doprawdy nader przyzwoite — zwłaszcza, jeżeli się przyjrzy liczbom, które się czasem nieostrożnie wymkną samej prasie burżuazyjnej. Oto jeden tylko przykład: w południowo-amerykańskich kopalniach złota w roku 1947 robotnik europejski zarabiał średnio 390 dolarów rocznie; w tym samym czasie i tym samym rejonie robotnik nie europejskiego pochodzenia (Murzyn, Hindus) — zaledwie 45-50 dolarów rocznie, a więc ni mniej ni więcej jak tylko o siemnaście razy mniej! Przy czym robotnik tej pierwszej kategorii był niespełna 30 tysięcy, robotników drugiej kategorii — blisko 300 tysięcy... A jednocześnie huczący heben burżuazyjnej propagandy dzieł i noc wbił w mózgi naiwnych na całej kuli ziemskiej gładkie frazesy o wolności, ród o s c i i „demokracji zachodniej”!

Za wieloma niekczemnościami gnjącego ustroju wyzysku maszerują „naukowe” argumenty rasizmu. Te same argumenty pozwalają białym władcom kolonii odstawić z czystym sumieniem na bok wszelkie obłudnie wyznawane moralne zasady i wymuszać posłuch na „kolorowej hołocie”, jakimi tylko środkami się da. Potworne okrucieństwa wojsk angielskich w walce z niepodległościową partyzantką w Kenii i na Malajach czy wycyny amerykańskich „supermanów” na Korei — łączy z ogladanymi nie tak dawno przez Europę popisami hitlerowskich „nordyków” nader bliskie pokrewieństwo ideowe: rasistowski mit o nadcześniaku, który choć dawno został zdemaskowany przez naukę — do dziś dnia wspiera faszyzm w rozlicznych jego postaciach.

Tadusz Bielicki

CZYTAJCIE
„SŁOWO POWSZECHNE”
PISMO CODZIENNE

Leszek PROROK

NIEZNANY FLAUBERT

FLAUBERT znany — to tytan i prawodawca powieści europejskiej, nauczyciel realizmu, twórca „Pani Bovary”, „Salambo” i „Szkolny serc”. Flaubert nieznany, to dramaturg, autor komedii „Kandydat”.

kandydatów. Pan Rousselin jest gotów bronić z równą chęcią interesów liberałów jak konserwatystów. Umie też, gdy trzeba, przejść się hasłami umiarkowanego centrum. Ostatecznie tu i tam można szermować zręcz-

Głównym wszakże nosicielem komizmu jest postać tytułowa, której podpadła arystokracja na wyścigi z mieszczaństwem toruje drogę do mandatu.

Kariera Corobkiewicza o ptasim mózdku czy moralności w zaniku posiada w literaturze francuskiej sławetne precedensy. Więzy pokrewieństwa łączą pana Rousselin z molierowskim monsieur Jourdain. Bankier wie dobrze, co jest prozą, a co wierszem i, po prawdzie, nie ceni jednego ani drugiego. By jednak dostosować swą figurkę i swą nieznajomość rzeczy do kalibru swych pragnień, nadyma się frazesem. Frazes, wszechwładny, powszechny frazes, oto droga do upragnionego krzesła w parlamencie. Może uda się skwitować nim wyborców, kontrkandydatów i prasę (prasa żyje z frazesu — stwierdza niedwuznacznie poeta-dziennikarz). Umiejętność ta nie przychodzi jednak sama. Przez 4 akty deputowany „in spe” szlifuje swe frazesy na strzępkach zasłyszanych przemówień, urywkach rozmów, okrucich lektury. Pogoń za frazesem sięga szczytu w pustej sali oberży, gdzie pan Rousselin przygotowuje się do wiecu wyborczego. Wielki monolog bufona, oszalonionego swym powodzeniem, przypomina pamiętny monolog Figara, wywrócony na opak.

Czy z tym wszystkim „Kandydat” jest jednak komedią? Utwór zakrawa raczej na tragiparodię obłudy wyborczej porządku Thiersów i Mac Mahonów, na namiętny bunt przeciwko targowisku stronnictw, rozpanoszeniu gadulstwa, kłamstwa i braku skrupułów. Wszystkich partnerów wrzucił Flaubert do jednego worka i zawiązał go postacią pana Rousselin, uniwersalnego kandydata. Co prawda, zdrowy rozsądek zdemas kował na wiecu absolutną nieprzydatność bankiera do tej roli. A jednak w efekcie pan Rousselin uzyskał mandat. W tym tkwi tragedia francuska, którą głęboko przeżywał Flaubert, fanatyk prawdy. Stosunki te przeżyły pisarza i rozpanoszyły się nad Sekwaną.

Cóż dziwnego, że napiętnowani, a w szczególności burżuazja, której podszewkę najszerzej obnażono, rzucili się, by zdławić zuchwałego krytyka. Nie był to jego pierwszy wybrzyk. Za „Panią Bovary” te same koła powlekły autora przed sąd, a prokurator — wg słów J. Parandowskiego — „wypowiedział w swej mowie wszystko, czymkolwiek obłuda i ciemnoty zaszczyliły rzetelne dzieło sztuki”. „Kandydat”, to tylko dalsza faza pojedynku, który pisarz wiodł przez całe życie. Powieść „Bouvard i Pecuchet” oraz rozpoczęty „Dykejo-

narz komunalów” pozostały w tym boju ostatnimi niezakończonymi porywkami.

W SPÓŁCZESNI zarzucali sztuce nieteatrualność. Taine uważał, że będzie ona lepiej smakować w lekturze, gdyż za dużo w niej idei na tę ilość scenicznego ruchu, w jaką autor wyposażył postacie. Były też opinie, że paryskie niepowodzenie przypisać należy zbyt końskiej dawce prawdy, zbyt wiernemu przedstawieniu stosunków, by mógł to znieść bez szoku gust burżuazyjnych odbiorców. Autor zapomniał — oceniła pięknie sędziwa George Sand — że w teatrze papierowa róża znaczy więcej niż prawdziwa.

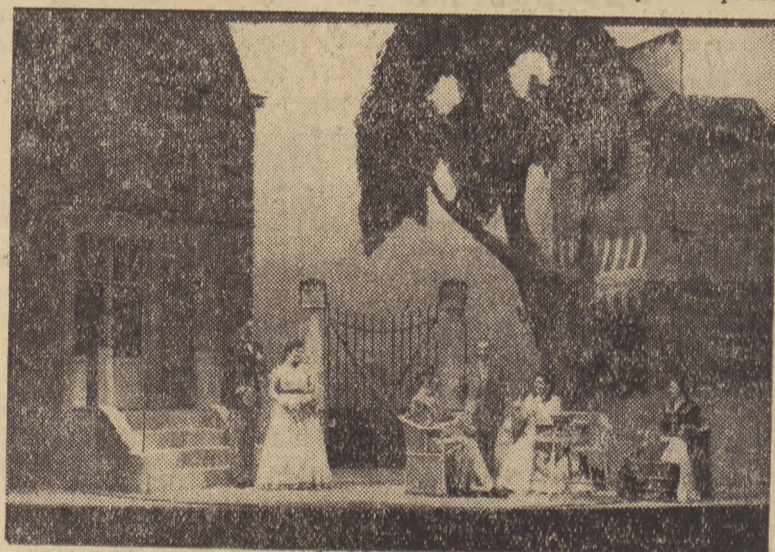
Szybki upadek „Kandydata” nie pozwolił współczesnym rozstrzygnąć sporu o teatralność flaubertowskiego Kopeiuszka. Dziś w tym nieprzedawnionym dokumencie wielkiego szyderstwa znajdujemy szereg celnych spostrzeżeń, precyzyjny rysunek wielu charakterów, pasję pogromcy mieszczańskiej obłudy, znajdujemy jednak również słabości utworu: niedorysowanie pewnych postaci, porzuconych jakby w pośpiechu (np. pani Rousselin i młody Bouvigny). Razi spadek napięcia w akcie IV oraz wyraźny niedosyt zakończenia. Scena końcowa jest nazywał konwencjonalna.

Z tym wszystkim wyborcze perypetie p. Rousselin mogą stać się przedstawieniem ciekawym, o skondensowanym ładunku myśli, o silnym steżeniu satyry politycznej i

mier i przygotował szereg ról w podwójnej obsadzie. Wydobycie wszystkich walorów trudnego, niegrywanego utworu, osłona jego usterek przez-rasta możliwości obsadowe teatru prowincjonalnego. Stąd może pewna statyczność scen wyborczych w II akcie i niejasność jego finału, stąd pewne zahamowania tempa. Z uznaniem podkreślić należy, że praca reżysera (Wł. Woźnik) nie zakończyła się z premierą. Nowa, zmieniona po kilku dniach koncepcja zbiorowej sceny końcowej usunęła poprzednie niedomówienia.

Głównego bohatera kreują Aleksander Sewruk i Zygmunt Zintel. Rousselin Sewruka, bardzo francuski w sposobie bycia i w gestykulacji (n.b. w charakterystyce niepozobawie-ny pewnego podobieństwa do autora sztuki) akcentował najsilniej pogotowie łatwego komunau na każdą okoliczność oraz zdolność pływania po powierzchni życia bez skrupułów, którą w dwu pokoleniach Rousselinów kształcił świat finansjery. Było dużo finezji w cieniowaniu stopni pi-sarskiej ironii. Publiczność poznańska, pamiętająca b. dobre kreacje Sewruka w „Tajnej wojnie” i „Sprawie rodzinnej”, z zadowoleniem odkryła w nim humorystę.

Zintel w niemniej wypracowanej roli dał inną zupełnie koncepcję postaci. Na plan pierwszy wysunęła się tutaj ambicja, nie krepowana żadnymi względami. Ten Rousselin zawierał w sobie nawet pewien podźwięk



Scena zbiorowa z aktu I — od lewej: Wł. Głębik (Murel), Z. Streer (Luiza Rousselin), B. Wróblewski (Onyzym de Bouvigny), E. Kotarska (Guzhet), A. Barczewska (Pani Rousselin), A. Zasudzińska (Miss Arabella). Scenografia Z. Bednarowicz. Fot. Z. Maksymowicz

obyczajowej, pod warunkiem doborowej obsady całości i mistrzowskiego wypracowania tytułowej postaci.

Teatr Polski w Poznaniu prawił nad „Kandydatem” dłużej niż nad którąkolwiek inną z ostatnich pre-

tragicznych. Harmonizowało to z pokazaną sylwetką małego dorobkiewicza, kolidowało jednak z koncepcją autora. Rousselin jest potentatem swego miasteczka, a nie sklepikarzem. Ciekawa skądinąd kreacja Zin-



Scena z aktu IV: Aleksander Sewruk (Rousselin), Zdzisław Słowiński (Zebra). Fot. Z. Maksymowicz

która w 1874 r. zeszła ze sceny paryskiego Vaudeville'u po 4 przedstawieniach w atmosferze skandalu politycznego i zaciętych napaści krytyki. Do teatru „Kandydat” powrócił raz jeden, z okazji 30 rocznicy zgonu pisarza (1910).

Z nieznanym Flaubertem zetknęliśmy się ostatnio — po raz pierwszy w Polsce — w Poznaniu. Państwowy Teatr Polski przygotował inscenizację zapomnianej sztuki w przekładzie i opracowaniu St. Hebanowskiego. Ta literacka ekshumacja przypomniała jedną z ciekawszych postaci w twórczości Flauberta, klasycznego kandydata wyborów do parlamentu III Republiki, bankiera prowincjonalnego, pana Rousselin.

Okazy rzutkich finansistów z szerszymi ambicjami hodowała na wielką skalę monarchia „króla sklepikarzy”, Ludwika Filipa. Równie żyzna okazała się dla nich gleba II Cesarstwa i III Republiki. Polityczne apetyty nuworoworszy najłatwiej sycił kasek, który tak niewiele zachodów wymagał (oczywiście, gdy się go już chwyciło), a tyle w zamian dawał — mandat deputowanego.

Pan Rousselin kandyduje, jak się należy domyślać, w czasach prezydentury marszałka Mac-Mahon. Na targowisku wyborczym obowiązują w pełni zasady rynku kapitalistycznego — prawo mechaniki cen. Gwałtownie rośnie podaż obietnic, spada wartość słowa. Programy, jeśli istnieją, ważne są może dla wyborców, na pewno nie dla flaubertowskich

nie nawykami językowymi 80 roku czy też restauracji: lud, proletariatus — przy jednej okazji, hydra rewolucji — przy drugiej.

Lud, o którym raz po raz mowa, reprezentuje drobnomieszczaństwo: szewc Heurtelet, oberżysta Hombourg czy ogrodnik Voinchet. Oni jedni zresztą usiłują wydusić z p. Rousselin konkretnę gwarancję, tycząc ich spraw. Robotnicy z przedziału w Bugneaux czy ludzie z włości hr. de Bouvigny pojawiają się w ustach menderów jak straszak lub atut o zaokrąglonej ilości głosów, które rzuca się na szalę targów, jak oszczędności drobnych ciulaczy w operacjach giełdowych.

W zabiegach wyborczych nienajmniejszą rolę odgrywa posag panny Rousselin. Za tę cenę warto wprowadzić bankiera do izby. Posag wzięcia sprawy i utrudnia p. Rousselin decyzję, jakiemu ugrupowaniu powierzyć swą osobę. Motor ten rodzi również niespodziane kontrkandydatury. W akcję, którą żyje podniecona opinia miasta, wmięszal się również prowincjonalny poeta-dziennikarz, zapóźniony romantyk, który miota się między obowiązkami tuby wyborczej liberałów a miłością do żony bankiera. Brzmia tu zapewne echa własnej młodości pisarza i jego uczucia do Marii Schlesinger.

Utwór swój Flaubert nazwał komedią, gdzież zatem śmiech? Niemało go w spięciach sytuacji czy w sentencjonalnych bonmotach, nieodrodnym potomstwie „esprit gaulois”.

O rozwoju świadomości społecznej katolików

(Dokończenie ze str. 9)

zmu, ani potrzeby sojuszu i współpracy z pierwszym na świecie państwem robotników i chłopów. Taka motywacja socjalizmu nie potrafi usadzić ani naszej pomocy dla ludności, walczącej Korei, ani wsparcia strajkujących robotników na Zachodzie, ani azyłu dla prześladowanych przez faszystowskie rządy działaczy wolnościowych.

Istnieje wreszcie trzecia postawa — „socjalizm, ale nie taki”. Ludzie, którzy ją zajmują, bywają gorącymi admiratorami wszystkich możliwych odprysków teorii socjalizmu, które dziś już nie istnieją, wszystkich rewolucji, które się nie udały, wszystkich ugrupowań socjalistycznych, które się z czasem rozpadły — hyle nie tego socjalizmu, który istnieje, który okazał się zdolny zmobilizować masy ludowe całego

świata i który krzepnie wokół nas w kształt rzeczywistości. Socjalizm, którego są zwolennikami, jest aż do skrajności „moralny”, tak „moralny”, że nie cofa się przed rezygnacją z dyktatury proletariatu, przed rezygnacją z rewolucji, ba, nawet z walki klasowej. „Najmoralniejszy” spośród tych „moralnych” idą tak daleko, że nie wahają się nawet socjalizmu istniejącego poświęcić, byle tylko w ten sposób uspokoić dręczące ich sumienia wątpliwości co do jego „moralności”. Gotowi są nawet zgodzić się na wojnę, na śmierć i cierpienia milionów ludzi i zaprzepaszczenie całego dorobku ludzkiej pracy, na to, by wszystkie ofiary poniesione przez lata dla rewolucji poszły na marne — hyle tylko socjalizm był „moralny”. A tymczasem na codzien nie pozostaje im nic innego jak śledzić z zna-

niem postępy remilitaryzacji w zachodnich Niemczech, jak sympatyzować ze szpiclami z FBI, wtracającymi starych działaczy robotniczych do więzień, i z „flikami” z CRS, rozpędzającymi demonstracje robotnicze, jak cieszyć się z wyczynów żołnierzy korpusu ekspedycyjnego, obcinających głowy powstańcom na Malajach — wszystko to są bowiem siły, pracujące w ostatecznym obrachunku na rzecz tego „prawdziwego”, „moralnego” „socjalizmu”.

Mówmy poważnie. Jesteśmy jako katolicy najdalej od kwestionowania postulatów moralności życia społecznego. Zgodnie z naszym światopoglądem cała działalność człowieka, cała rzeczywistość ludzka winny być podporządkowane normom etyki. Zgodnie z naszym światopoglądem musimy czynnie reagować na każdy przejaw dobra i na każdy przejaw zła w otaczającej nas rzeczywistości. Ale ocenę moralną trzeba utrzymywać w proporcjach odpowiadających stanowi faktycznemu. Trzeba widzieć nie tylko straty i ograniczenia, które wsku-

tek rewolucji poniosły klasy dawniej uprzywilejowane, ale trzeba w równym stopniu widzieć zdobyte, jakie przyniosła ona wielokrotnie większym masom narodu, masom robotników i chłopów. Trzeba widzieć ocenianą rzeczywistość w jej dynamicznym rozwoju, w jej stałej tendencji do przewyższania trudności i koniecznych wyrzeczeń, stałej tendencji do doskonalenia się. Dlatego z drobnych, choć może dotkliwych na aktualnym etapie niedomagań i błędów nie można czynić podstawy do generalnego potępienia całej drogi. Nie można popadać w obłudny hipermoralizm i teoretycznie zapewniając o swej miłości do idei socjalizmu równocześnie stawiać socjalizmowi istniejącemu w imię „moralności” i „humanizmu” takie wymagania, które praktycznie oznaczają potępienie tego wszystkiego, co tę piękną ideę mogłoby wprowadzić w życie.

Nie wolno tracić z oczu prawdy, że w sytuacji, w jakiej się socjalizm współcześnie znajduje, jedność w jego szeregach jest podstawowym naka-

zem. Przemiany, jakie zachodzą w świadomości społeczeństwa polskiego, pociągają za sobą również pewne zmiany w metodach oddziaływania wrogiej propagandy. W dążeniu do infiltracji w najdroższą i produkującą pod względem świadomości część naszego społeczeństwa po to, by ją obezwładnić, musi on mówić językiem odpowiednim, językiem również „socjalistycznym”. Przykładem na to jest działalność prawniczych „socjalistów” w wielu zagranicznych radiostacjach.

Słuszny kierunek rozwoju świadomości społecznej katolików w Polsce i autentyczna postawa socjalistyczna mierzy się stosunkiem do socjalistycznej rzeczywistości społeczno-gospodarczej, konkretnie u nas istniejącej oraz stosunkiem do podstawowych warunków owocnego budownictwa socjalistycznego — dyktatury proletariatu i sojuszu z ZSRR.

Janusz Zabłocki

1) Bolesław Plasecki — „Dwie drogi katolicyzmu” — „Dziś i Jutro” nr 18 (388).
2) Tematy Rutkiewicz — „O właściwą perspektywę”, „Dziś i Jutro”, nr 7 (377).

Eros i Caritas — idea realna

Dokończenie ze str. 4

ła zbyt mało różniła kandydata od światka drobnomieszczańskich wyborców. Zarzucić też mu można nadmierny patos. Wszak w sztuce trafiają się chwile, gdy p. Rousselin nie zgrywa się, gdy jest sobą. Patos zaciąga je, zmniejszając pewną dozę prawdopodobieństwa psychologicznego, które realistyczna komedia winna zachować, jeśli nie chce przerozdzic się w farsę.

Dobra, choć zbyt powolna w ruchu i w geście sylwetki średniego kapitalisty, Grucheta, dał Eugeniusz Kotarski. Wyborczego impresario i kierownika przedziału, Murela, grał St. Mroczkowski i nieco swobodniej Wł. Głębik. W dublowanej również roli romantycznego poety Juliana więcej uczucia i przejęcia dał I. Kamiński. Hrabia J. Chodackiego, narysowany przy pomocy dobrych warunków zewnętrznych, przerósł potrzeby sztuki. Był zbyt elegancki i pełny werwy jak na sylwetkę, której panna Rousselin przypisuje wygląd „śmieszego dzierzawcy”. Barwne, charakterystyczne role wyborców Heurtelota, Hombourga, Voincheta, emerytowanego kapitana Ledru, Beaumesnil, jak również strażnika gminnego odtworzyli na ogół poprawnie Z. Graczyk, M. Mirski, J. Strumiński, Ł. Rabski, L. Detkowski i O. Moliński.

Obsada żeńska nie spisała się w równym stopniu, za co po części winę ponosi sam Flaubert. Groteska językowa miss Arabelle (A. Zasadzianki) została jakby przeniesiona z omawianego niedawno „Magazynu mód”. Ież u Kryłowa wystarczyły same dźwięki kaleczony mowy. Tu koniec nie było zrozumienie całości tekstu, który uchodził nieraz uwagi widza. Pani Rousselin (A. Barczewska) nie dość gorąco odpowiadała na afekt młodego poety w II akcie, choć, jak mamy prawo domyślać się z autorskich aluzji, akcja wyborcza przyniosła sukcesy również Julianowi, tym razem uczuciowe. Luizę Rousselin grała Z. Streer.

Do rzędu drobnych, lecz zbędnych usterek należą rozbieżności kostiumów z tekstem. W I akcie Gruchet mówi z naciskiem, że pycha Rousselinów przydziała ich służbę w gentry, chwilę później lokaj Piotr strojem swym wcale tego sądu nie potwierdza.

Scenografia Z. Rednarowicza utrzymana w spokojnym tonie i linii, bez naturalistycznej pogoni za odtworzeniem sceny, zdała najlepiej egzamin w II i III akcie. W I akcie nie naturalne drzewo z sówimi oczami wyraźnie męciło nastrój.

Przekład Stanisława Hebanowskiego zbliża się do języka polskiego wydania „Bouvarda i Pecucheta”, tj. do dzieła, które w czasie oraz w problematyce najbliższe jest sztuce. Tłumacz szczęśliwie ujął się z zawilgą nomenklaturą wyborczą. Przez wyszukanie jej historycznych odpowiedników podkreślił dystans lat, jaki dzieli nas od oburzenia i scenicznej batalii Flauberta.

Leszek Prorok

Chcę przez to powiedzieć, iż nie można traktować współmałżonka czy współmałżonki jako kogoś, kto jest zbyt doskonały, aby potrzebował przykładu, wyrozumiałości, cierpliwości i tego najtrudniejszego, pełnego chrześcijańskiej pokory wyrzeczenia, jakie jest udziałem każdej owocnej pracy ideowo-wychowawczej. I chcę powiedzieć, że trzeba za to widzieć w towarzyszu czy towarzyszyce życia kogoś, kto może i powinien stać się pięknym, i dobrym, i mądrym człowiekiem. I to jeszcze, że trzeba czynić wszystko, aby mimo aktualnych jego błędów, klęsk, upadków pomóc mu w realizacji upragnionej doskonałości. Od miłości małżeńskiej nie można zatem oczekiwać stanu zrozumienia, wzajemnego zaufania, permanentnej radości, którego istnienie nie wymaga z naszej strony cierpliwości, wyrzeczeń i ofiary. Można natomiast i trzeba oczekiwać od miłości małżeńskiej tej osłody i pomocy, jaką daje zwycięski trud, owocna realizacja ideału, który się spełnia codziennie, stale, aż się spełni całkowicie poza historią, w Bogu.

Wiara w Niego, wiara w życie przyszłe, wiara w wieczną a doskonałą miłość w Nim, będąca ukoronowaniem życia doczesnego, czyni sprawę ideału w miłości małżeńskiej sprawą trudną, ale realną i ważną. Bez tej wiary można co najwyżej traktować walkę o idealną miłość jako tragiczny trud syfony wizji, która się nie spełni nigdy. Bez tej wiary fakt, iż tu, na ziemi, nie ma idealnych ludzi i idealnej miłości, może nas łatwo zepchnąć na pozycję pełnej żalu, jałowej tęsknoty, bądź pseudorealistycznego, cynicznego wygodnictwa.

POMIJAJĄC naprzyrodzony charakter małżeństwa dochodzę do przekonania, że małżeństwo można nazwać szczęśliwym wtedy, kiedy istnieje tam wzajemny pociąg estetyczno-zmysłowy oraz przyjaźń, tj. wzajemna życzliwość, zaufanie, szacunek i szczerść, a także gotowość do czynnej pomocy, ofiarnego współdziałania.

Otóż wydaje mi się, że bez stałej pracy, prowadzonej z głębokim poczuciem odpowiedzialności, nie można pozyskać stałej przyjaźni. Nasze ludzkie przyjaźnie nie są doskonałe. Niemniej jednak, i właśnie dlatego, nieustannie musimy przyjaźni ulepszać, udoskonalać, dążąc do przyjaźni doskonałej, jeżeli chcemy w ogóle doświadczyć przyjaźni. Oczywiście praca pozbawiona ożywienia, pobudzającej siły wizji, doskonałej, wzajemnej życzliwości, zaufania, szacunku, szczerości i dobrej woli, jako czegoś upragnionego, cennego, umiłowanego, nie posiada pomyślnych, subiektywnych warunków rozwoju. Nie może stać się pracą trudną co prawda, ale drogą, ważną, umiłowaną. A takiej właśnie pracy wymagają starania, których celem jest przyjaźń małżeńska.

Jest to przede wszystkim praca nad samym sobą, ta najtrudniejsza ze wszystkich prac. Nie ma bowiem bez niej rzeczywiście ważkiego wpływu, który kształtuje osobę drugiego człowieka. Wypracowanie opanowania własnej pobudliwości, likwidacja gwałtownych i ślepych wybuchów rozdrażnienia lub gniewu wymaga zdecydowanej woli i często długotrwałego wysiłku. Nie mniej potrzeba go do tego, aby stać się nie tylko opanowanym, cierpliwym, ale i wyrozumiałym i obiektywnym. Jak trudną nierzadko sprawą jest zagadnienie właściwego wypośredkowania między uległością a apodyktycznym dyktatem. Z jednej bowiem strony, chcąc, aby istniał w małżeństwie obopólny szacunek, nie wolno ukrywać się za wygodnym parawa-

nem braku wszelkiej odpowiedzialności za losy rodziny. Z drugiej zaś strony nie liczyć się ze zdaniem przyjaciela, nie znoszący sprzeciwu głos zabija życzliwość i szczerść.

Podobnych zagadnień jest znacznie więcej, a wszystkie one wymagają szczerego i stałego wysiłku, ożywionego realistycznie pojętą tęsknotą za idealną przyjaźnią z umiłowanym człowiekiem. Takiego wysiłku wymaga sprawa kultywowania wzajemnego pociągu estetyczno-zmysłowego. Oczywiście, moment zmysłowy występuje w pełni jedynie w, że tak powiem, młodzieńczym okresie małżeństwa. W okresie jednak starości zastąpić go może jasne i dobre wspomnienie cementujące związek. Równocześnie przez cały czas małżeńskiego życia istnieć może taka obopólna przyjemność estetyczna, jaka wynika zawsze z obcowania z ludźmi czystymi, starannie i estetycznie ubranymi.

Często bardzo małżonkowie przestają dbać po ślubie o swoją powierzchowność. Postępują tak, jakby istotnie starania nad własnym wyglądem, które tak chętnie podejmowali w okresie narzeczeństwa, były już zbyteczne. Pogląd to oczywiście jak najbardziej fałszywy, a uleganie mu naraża małżeństwo na szereg niebezpieczeństw.

Niewątpliwie nie wszędzie i nie zawsze łatwo jest dbać o swój wygląd, wtedy szczególnie, kiedy warunki materialne są trudne, praca zawodowa zabiera czas, absorbują dzieci i codzienne domowe czynności. W takiej sytuacji jedynie czasem istotnie trudny wysiłek, wynikający z mocnego postanowienia i wewnętrznej dyscypliny, prowadzi do celu. Trzeba bardzo mocno pragnąć panowania piękna w małżeńskim życiu, aby takie postanowienie i dyscyplina kierowały staraniami nad urodą ciała. Trzeba dążyć do ideału, realizować wizję związku nie tylko dobrych, ale i pięknych, odczuwając głęboko jego wartość i sens, jeśli się chce trwać na pozycjach dających szanse maksymalnego wyzyskania tych możliwości szczęścia, które tkwią w danym związku małżeńskim.

Sądzę, iż należy w tym miejscu wyraźnie podkreślić, że, pisząc o staraniach nad własnym wyglądem, których celem jest piękno w małżeństwie, nie mam na myśli starań traktowanych jako jedynie ważne zabiegi nad szczęściem małżeńskim. Bez starań o przyjaźń praca nad własną urodą staje się, rzecz by można, wstrętną pracą. Wtedy bowiem traktuje się cały stosunek małżeński wyłącznie zmysłowo, ignorując fakt, iż związek ciał wtedy tylko jest naturalny, ludzki, piękny i dobry, kiedy jest ukoronowaniem miłostnego związku dusz. Inaczej przypomina on pijaństwo i obżarstwo, a nie zdrowe, naturalne zaspokajanie głodu i pragnienia, podtrzymujące życie. Tak za tem staranie o wygląd estetyczny, o piękno ciała, powinno być konsekwencją przyjaźni, prostym wnioskiem wysnutym z postawy rozumienia pragnień i potrzeb ukochanej osoby. Ten głównie moment, obok naturalnej, osobistej, oczywiście niezwiązanej z pychą przyjemności płynącej z estetycznych doznań własnego wyglądu, winien, moim zdaniem decydować o sensie i celu małżeńskiego starania o piękno ciała.

**

ROLA upragnionej wizji w pełni dobrego i pięknego małżeńskiego związku ludzi w pełni dobrych i pięknych nie ogranicza się z pewnością

do kształtowania codziennej w małżeństwie pracy nad charakterem, umysłem i urodą. Myślę, iż ideał realistycznie pojęty powinien także określać wybór towarzysza czy towarzyszk życia. Musi być czymś w rodzaju busoli wskazującej drogę ku portowi małżeńskiej szczęśliwości. Sądzę bowiem, że jedynie w oparciu o przeżywanie ideału można świadomie zgromadzić te minimalne zasoby wartości, to tworzywo małżeńskiego szczęścia, bez którego żadna praca i żadna miłość ideału nie nie pomoże.

Można oczywiście traktować powyższą sprawę raczej maksymalistycznie, można także stawiać ją raczej minimalistycznie. Czasem określona, ważna społecznie działalność nie pozwala na związek z osobą, która nie będzie mogła stanąć do czynnej współpracy, a wręcz przeciwnie, wprowadzi moment paraliżowania, opóźnienia realizacji spraw społecznie ważnych, istotnych. Czasem znowu właśnie dźwignię moralne i umysłowe ukochanej osoby staje się pewnego rodzaju powołaniem. Są to jednak wypadki szczególne. Na ogół, wolno chyba powiedzieć, istnieje powszechnie minimum warunków, którym sprostać powinna wybrana osoba, jeśli nie chcemy, aby małżeński z nią związek okazał się nieudany, nieszczęśliwym. Określić te warunki, dostrzec je i wykonać wynikające stąd wskazania udaje się właściwie tylko wtedy, jeśli patrzemy na siebie i świat przez pryzmat realistycznie traktowanego ideału, który potem będzie ożywiającym trud nad małżeńskim szczęściem.

Nie będzie istnieć przyjaźń tam, gdzie brak charakterów, gdzie brak stałości i konsekwencji. Oczywiście, stałość postępowania nie zapewnia jeszcze wzajemnego zrozumienia i współdziałania. To zrozumienie i współdziałanie zjawia się dopiero jako konsekwencja współżycia ludzi, których charakter jest emanacją podobnych poglądów moralnych. I nie jest rzeczą obojętną, jaka jest treść tych poglądów. Niewątpliwie jedynie reguły i normy postępowania, oparte na szczerym szacunku dla człowieka, dają małżonkom warunki dla budowania wzajemnej przyjaźni. Niewątpliwie jedynie charakter będący źródłem czynów ofiarnych, wyrażających miłość do człowieka, jest fundamentem wzajemnej gotowości do czynnego świadczenia przyjaźni.

Przed wybierającym staje problem właściwej oceny uczuć, które budzi osoba wybierana. Czy może brak tam jakiegokolwiek upodobania estetyczno-zmysłowego? Czy może ono i tylko ono jest wajemnym projektowanym małżeństwem? Oczywiście w obu wypadkach fundamenty małżeńskiego szczęścia budowałyby się na piasku.

Sądzę, iż wszystkie te i tym podobne zagadnienia można świadomie i pomyślnie rozstrzygnąć wtedy chyba jedynie, kiedy się rozumie i akceptuje sens wewnętrznych zmagania, które przeważnie trzeba przeżyć, nie chcąc dokonać fałszywego wyboru. Bez wizji idealnego małżeńskiego szczęścia, bez jasnego uświadomienia sobie ideału, którego się pożąda, oraz bez zdecydowanej woli ich realizacji ludzie wybierają współmałżonka czy współmałżonkę pod presją płytkiej namiętności, interesu materialnego lub drobnych życiowych niewygód. Skutki są łatwe do przewidzenia.

JASNE to chyba i oczywiście, że szczęście małżeńskie wymaga heroizmu. Heroizm ten zawiera się nie tylko w pracy nad harmonią małżeńskiego współżycia. Widzimy go nie tylko w trudnym częstokroć momencie wyboru męża lub żony, kiedy trzeba czasem powiedzieć sobie bolesne: nie. Heroizm ten istnieje musi także i w okresie przygotowywania się do małżeństwa. Jest to, na ogół biorąc, przede wszystkim heroizm czystości. Nie ma tu miejsca na wykazywanie ogromnej roli zdrowej, permanentnej czystości przedmałżeńskiej, opartej na sile woli, konsekwencji charakteru oraz higienie psychicznej i fizycznej. Jeżeli jednak założymy, że istotnie jest ona, przeciętnie biorąc, warunkiem czystej, opartej na przyjaźni i upodobaniu ciał miłości, to wówczas rozumiałą się staje rzecz, jako znaczenie mają heroiczne nierzadko zmagania o zachowanie lub przywrócenie czystości, o zdrowie fizyczne i moralne. W zmaganiach tych ideał miłości małżeńskiej: upragniony stan pełnej przyjaźni, wyrastającej w oparciu o radosne kontemplowanie piękna ukochanego ciała oraz wizja dobrego i pięknego przyjaciela, którego pożądają zmysły i duch — wszystko to stanowi ogromną siłę ułatwiającą zwycięstwo.

**

ALE nawet realistycznie pojęty ideał miłości małżeńskiej, nawet ideał traktowany jako cel, jako zadanie, a nie jako przypadkiem odkryty, niczym nie zasłużony skarb, stać się może śmiertelnym niebezpieczeństwem, jeśli będzie ideałem w naszym życiu najważniejszym, o tym życiu decydującym. Mimo wszystko, mimo największych starań bieg wydarzeń może całkowicie przekreślić skuteczność naszych dążeń do małżeńskiego szczęścia. Choroba, nieszczęście, śmierć, zła ludzka wola łatwo wykażą nam bezwartościowość naszych zabiegów o małżeńskie szczęście, jeżeli będą one dla nas „sednem sprawy” określającym sens naszego istnienia. Ponadto starania w ten traktowane sposób nie są staraniami korzystającymi z najbogatszego źródła heroizmu, jakim jest miłość Boga.

Ona to właśnie winna być, według nauki Bożego Kościoła, sednem sprawy naszego życia, a wszystko inne jej wyrazem, jej odblaskiem. Miłość do człowieka występuje wtedy jako świadectwo naszej miłości i tęsknoty do największej doskonałości, piękna i dobra, uosobionej w Bogu. On jest tym ideałem, który porządkuje wartości i wzory, którym służymy, wprowadza w nie hierarchie, nadaje im jednolity i wieczny sens. On jest tą idealną rzeczywistością, która jest równocześnie czynną najbardziej realnym. On pozwala nam kochać nawet wtedy, gdy pragniemy nienawidzić i krzywdzić, gdy egoizm pcha nas ku zatrąceniu. Dzięki Niemu ideał miłości małżeńskiej staje się w pełni ideałem, którego wiecznej wartości nie przekreślić nie zdoła.

Czynięc ideał miłości małżeńskiej nie tylko z a d a n y m, ale i B o ż y m, opieramy tę miłość na niewzruszonym fundamencie. Staje się ona dla nas realizacją woli Boga, sprawą przerastającą nasze własne prawa i potrzeby. Równocześnie żadna klęska na tym polu nie jest dla nas ani klęską ostateczną, ani stwierdzeniem bezwartościowości naszych trudów, zwycięstw i klęsk. Do Niego dojść możemy przeciwieństwo poprzez zwycięstwo i szczęście małżeńskie, jak i poprzez klęskę i utratę tego szczęścia.

Jerzy Czapiński



Jerzy Krzysztoń

OPOWIADANIA INDIJSKIE

Cena zł 22.—

Zbyszko Bednorz

DZIECI I BAGAŻE

Cena zł 15.—

Maciej J. Kononowicz

W RAMIONACH

SREBRNYCH RZEK

Cena zł 15.—

Georges Bernanos

RADOŚĆ

Cena zł 20.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „PAX”, Mokotowska 43, Warszawa, za załączeniem lub po wpłacie na konto PKO Nr I-8515 z dołączeniem zł 3 na koszt przesyłki.

Kilka słów o:

Prastyce

ODKRYCIE NIEZNANEGO TRYPTYKU

W miejscowości Polomin w pow. rzeszowskim odkryto ostatnio tryptyk gotycki, pochodzący z końca XV względnie z początku XVI wieku.

Tryptyk ten nieznanymi w ogóle literaturze naukowej, wmontowany był w ołtarz głównym kościoła parafialnego. Przedstawia on postacie świętych, malowane na drzewie tempera. Tryptyk przesłano do pracowni konserwacji zabytków w Krakowie, gdzie zostanie zrekonstruowany jako ołtarz szafkowy i zwrócony do kościoła w Polominie.

OBRAZ MURILLA DLA MUZEUM W LIVERPOOLU

Obraz Murilla „Madonna i dzieciętko w chwale”, znany wśród historyków sztuki pod



nazwą „La Vierge Coupée”, został ostatnio zakupiony za 5 tysięcy funtów szterlingów przez brytyjski Narodowy Fundusz Zbiorów Sztuki i ofiarowany do muzeum w Liverpoolu.

Obraz ten ma niezwykle ciekawą historię. Został on namalowany w 1673 roku na zlecenie Arceybiskupa Sewilla Don Ambrosio Spinola i umieszczony w ołtarzu, w kaplicy pałacu arceybiskupiego. Podczas wakacji na stolicy biskupiej górna część malowidła została odcięta i skradziona. Wie lokrotnie przechodziła ona z rąk do rąk, aż wreszcie w roku 1838 stała się własnością lorda Overstone'a.

Podczas walk w Hiszpanii napoleoński marszałek Soult, wówczas generalny Gubernator Andaluzji, zabrał drugą część przeciętego płótna i wraz z innymi obrazami Murilla przesłał do Francji. Pragnął on odsprzedać te wszystkie malowidła rządowi brytyjskiemu, ale do czasu jego śmierci portretacje nie dały żadnych wyników. Dopiero w roku 1862 spadkobiercy marszałka Soult'a sprzedali dolną część obrazu Madonny z Dzieciątkiem lordowi Overstone, temu samemu, który już przedtem nabył jego górną połowę. W ten sposób obraz został wreszcie połączony.

O UPOWSZECHNIENIE ARTYSTYCZNEJ FOTOGRAFII

W pierwszych dniach maja otwarta zostanie w Zachęce

III Ogólnopolska Wystawa Fotografii Artystycznej.

Równoległe z przygotowania mi technicznymi do wystawy Ministerstwo Kultury i Sztuki organizuje szeroką akcję upowszechniania fotografii artystycznej. Akcja ta przewiduje urządzenie wystaw fotografii w świetlicach przy zakładach pracy. Podczas trwania pokazu w każdej świetlicy odbywać się będą prelekcje i dyskusje.

Zorganizowane zostaną również wycieczki robotników na wystawę oraz zebrań dyskusyjne w zakładach pracy.

teatrze

130 ROCZNICA URODZIN A. N. OSTROWSKIEGO

W początkach kwietnia w Związku Radzieckim obchodzone uroczyste 130 rocznicę urodzin popularnego dramaturga A. N. Ostrowskiego. Utwory Ostrow-

skie koła amatorskie. Rokrocznie w samych tylko teatrach Federacji Rosyjskiej odbywa się blisko 14 tys. przedstawień sztuk Ostrowskiego. Prawie wszystkie jego utwory weszły do repertuaru Teatru Małego w Moskwie, który słusznie nazywają Domem Ostrowskiego.

PAMIATKOWE WYDANIE DZIEŁ OSTROWSKIEGO

Radzieckie wydawnictwo Gostizdat zapowiada wielkie 16-tomowe wydanie dzieł A. N. Ostrowskiego. Będzie to najpełniejsze wydanie pism tego dramaturga, jakie się do tej pory ukazało. Obejmuje ono nie tylko oryginalną twórczość dramaturgiczną, ale również i przekłady obce, prozę, artykuły o teatrze, krytykę literacką oraz całą korespondencję Ostrowskiego.

SZTUKI POLSKIE NA SCENIE W GORLITZ

Teatr im. G. Hauptmanna w mieście Gorlitz wystąpił z premierą sztuki Adama Tarna „Ortega”. Zespół teatru przygotowuje również premierę sztuki Gruszczyńskiego „Pociąg do Marsylii”.

—filmie

G. SADOUL O KINEMATOGRAFII FRANCUSKIEJ

W czasie swego pobytu w Warszawie G. Sadoul, znany francuski postępowy krytyk filmowy, odbył szereg spotkań z dziennikarzami i przedstawicielami polskiego świata artystycznego i filmowego, podczas których omówił obecną sytuację kinematografii francuskiej. Zacięta kampania parlamentarna w sprawie przeprowadzenia ustawy o pomocy dla filmu francuskiego zakończyła się chwilowym sukcesem. Uchwalono pomoc finansowo-kredytową dla producentów filmowych ograniczając jednocześnie import filmów amerykańskich.

Są to jednak wszystko półśrodki, gdyż w warunkach kapitalizmu, gdzie zwyciężą jest zawsze silniejszy przeciwnik — potężna finansowo kinematografia amerykańska, obmyślająca stale nowe metody inwazji, będzie stanowiła stałe i groźne niebezpieczeństwo dla europejskich kinematografii narodowych. Francuska produkcja filmowa walczy jeszcze z innymi trudnościami, jest bowiem zależna od finansowej kontroli banków udzielających kredyty producentom i od wymagań właścicieli kin. Ta jakby podwójna cenzura w

dużej mierze uniemożliwia produkcję filmów wartościowych.

Mimo tych ogromnych trudności powstają filmy określone przez publiczność francuską mianem „walczącego dokumentalizmu”. Takim jest np. film o Henrym Martin, film walczący przeciw brudnej wojnie w Indochinach i zdaniem G. Sadoula, najlepszy po wojnie film dokumentalny pt. „Horyzonty”, poświęcony francuskiemu związkowi zawodowemu CGT. W Polsce z serii dokumentalizmu walczącego widzieliśmy niezapomnianą „Bitwę o szynę” Clementa i „Komunę Paryską”.

NOWE FILMY DEFY

Reżyser Kurt Mätzig przystąpił już do produkcji wielkiego fabularnego filmu o życiu i walce Ernsta Thälmana. Opracowania literackiego zyciorysu Thälmana dokonał laureat Nagrody Państwowej Willi Bredel. Drugi ciekawy film fabularny realizowany w Defie, to „Przygody małego Mucka”, bajka filmowa w kolorach naturalnych, której reżyserem jest Wolfgang Staudte, utalentowany twórca „Poddanego”. Wiele filmów dokumentalnych jest już na ukończeniu, a to: pełnometrażowy film o Ludwiku Van Beethovenie, reżyserii M. Jaap i S. Hermlina, kolorowy film o NRD pt. „Nasza piękna ojczyzna” reżyserii Bruno Kleberga i film dla uczczenia 60-tej rocznicy urodzin Waltera Ulbrichta.

KINEMATOGRAFIA CHIN

Młoda, bo licząca zaledwie kilka lat kinematografia Chin Ludowych rozwija się coraz po myślniej. Państwowa Wytwórnia Filmowa w Szanghaju zaplanowała na r. 1953 wyprodukowanie 8 pełnometrażowych filmów. Będą to przeważnie filmy o tematyce współczesnej ukazujące rozwój i przemiany Chin Ludowych.

Obecnie na ukończeniu jest pierwszy kolorowy film oparty na motywach najpopularniejszych pieśni ludowych — Lian-Szan-bo i Cziu-Ju-taj.

wszystkim

TRZY OGÓLNOPOLSKIE NARADY

W DNIACH 18 i 19 kwietnia b. r. odbyła się w Warszawie druga Ogólnopolska Narada Satyryków. Punktem wyjścia dla referatowej dyskusji były referaty: J. Andrzejewskiego — „Kilka uwag o charakterze i zadaniach satyry”, Z. Mitznera (Jana Szeląga) — „Tradycje satyry polskiej i za-

dania satyry w Polsce Ludowej”, A. Marianowicza — „O współczesnej literaturze satyrycznej”, E. Lipińskiego — „Uwagi o tradycjach i o współczesnej karykaturze polskiej” oraz K. Forstera — „Współczesna karykatura polska”.

W kwietniu b. r. odbyła się w Warszawie Krajowa Narada Architektów. Między innymi — zwróciła ona uwagę na konieczność zwalczania konstruktywizmu, który — zdaniem referentów i dyskutantów — neguje rzeczywistość historycznego człowieka, ideową treść obrazu artystycznego w architekturze i narodową formę kultury. — Skrytykowane również tendencje do zbyt bogatej ornamentyki, przeciwdziałając im postulat skromności efektu artystycznego, sporo wreszcie uwagi poświęcono zagadnieniu powiązania architektury z urbanistyką oraz konieczności współpracy architektów z pla-

nykami. — Dyskutowano również obecną Wystawę Architektury; przy ocenie pokazanych eksponatów kierowano się następującymi kryteriami: zgodność treści i formy, umiejętne nawiązanie do tradycji narodowych przy jednoczesnym wykorzystaniu zdobyczy architektury światowej i — „stosowny poziom techniczny oraz ekonomiczny”.

W dniu 21 bm. zakończyła się Ogólnopolska Narada Muzyków. Naradę zagał J. Jasieński, który w swoim referacie podsumował dotychczasowe osiągnięcia współczesnej muzyki polskiej oraz zwrócił uwagę na niedociągnięcia i braki, m.in. niedocenianie wychowawczej roli muzyki, na ciągle zbyt słabą inicjatywę w celu pozyskania nowego robotniczo-chłopskiego widza.

W najbliższych numerach naszego pisma ukaza się obszernie sprawozdania z tych narad.

Poeta współczucia

Cóż wiemy naprawdę o literaturze chińskiej? Niektórzy uprawdźcie chętnie cytują przy dość nieoczekiwanych okazjach maksymy Lao-Tse, a inni słyszeli coś o poetach Li Tai-Pe i Tu-Fu, ale na tym często kończą się kontakty z najstarszym i być może jednym z najbogatszych, jakie istniało — piśmiennictwem.

Chiny — kraj, który rozkwitł na tysiąclecia przed naszą erą — oddzielony od nas olbrzymimi przestrzeniami — odgradzony murem swego trudnego języka i obcą nam kulturą — pozostawał dla Zachodu w ciągu całych wieków tajemnicą.



Z trudem, poprzez wątpliwe i niecisłe przekłady, z relacji podróżników i uczonych badaczy Orientu dochodziły wieści o poezji chińskiej, tak innej, jak azjatyckie gwiazdy, pod którymi urosła, a tak przecież czarującej.

Wiek XX zmienił radykalnie ten stosunek Europy do Dalekiego Wschodu. W ślad za potężnymi przemianami w dziedzinie międzynarodowej polityki — razem z wejściem wielkich narodów Azji do aktualnego życia międzynarodowego — obudziło się powszechne zaciekawienie historią i kulturą tych ludów. Ile tu jednak jest do odrobienia, świadczy właśnie sprawa poety Tchu-Yuana. Nazwisko to znane było Europie tylko nielicznym specjalistom-sinologom. A przecież Tchu-Yuan zajmuje w narodowej poezji chińskiej pozycję podobną do tej, jaką ma Homer w literaturze greckiej a Dante w włoskiej.

Dopiero decyzja Światowej Rady Pokoju uczczenia jego dwa tysiące dwudziestej rocznicy urodzin skierowała uwagę świata na tę postać.

W trudnych i burzliwych czasach przyszło żyć Tchu-Yuanowi. Nieustanne walki licznych królów o hegemonię — nie kończące się wojny i bez mierna krzywda ludu składyły się na obraz epoki. Tchu-Yuan piastował wysokie stanowisko na dworze króla Huae i od pierwszych lat panowania tego władcy — przynależąc do kasty arystokratów nie podlegał uciążliwościom i udrękom swego czasu. Ale z wyżym, na jakich postawił go los, umiał patrzeć uważnie i dostrzegł bezmierną nędzę ludu i języczne większą pychę władców; współczucie, którym wypełniało się jego serce, znajdowało ujście w licznych, pobrzmiwających nutą elegijną wierszach.

Wzdycham głęboko i lzy spadają z mych powiek
Zal mi bez granic doli
mojego narodu
Chciałbym porzucić Chiny —
odjechać do innych krajów;
Ale cierpienie mych braci
odjechać nie pozwala.

Tchu-Yuan nie umiał dbać o swe osobiste szczęście, jego gorzkie i smutne wiersze nie podobały się władcóm — szybko stracił ich łaskę i jako zwolennik grup opozycyjnych został skazany na długoletnie wygnanie.

Koniec życia miał tragiczny. Nieustanne wojny i zagłada zmieniające jego piękny, wypielegnowany przez wieki kraj w pole gruzów budzą w nim przerażenie. Widok ruin stolicy Ying zasmuca go głęboko:

Czemu niebo zsyła na lud zagładę —
W lutym oderwano matki od synów —
Wszyscy uciekają przerażeni
na Wschód.

Nie mogąc dłużej żyć na takim świecie, dotknięty osobistymi nieszczęściami umiera samobójczo, rzucając się w nurty rzeki Mi-Lo.

Ale nie giną z nim jego wiersze. Przepisywane z pokolenia w pokolenie, wchodzą w krew żywej tradycji poezji chińskiej, wzruszając i zachwycając równie mocno dzisiaj jak i przed dwoma tysiącami lat.

K.

Aktualia KSIĘGARNIANE

DOBREM pozycją starannością edytorską, dbałością o rzetelne opracowania i dobre, ciekawe wstępy — zdecydowanie przoduje coraz bardziej się rozwijające i stale poszerzające zakres swych zainteresowań Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Toteż — wybierając z dużej ilości książek, które ukazały się na zakończenie pierwszego kwartału br. — słusznie chyba poświęcić wzmianki niektórym chociaż nowościom tego wydawnictwa.

Z przyjemnością śledzi się rozrost Serii II Biblioteki Narodowej. Pamiętamy, jakie zainteresowanie towarzyszyło ukazaniu się „Trzech poetyk klasycznych” (Arystotelesa, Horacego i Pseudo-Longinosa) oraz Kwintyliana — „Kształcenia mówcy”. Obecnie, jako pendant do tamtych tomów, wyszły „Trzy stylistyki greckie” w przekładzie i opracowaniu Władysława Madydy. Są to: trzecia księga „Retoryki” Arystotelesa, rozprawa Demetriusza — „O wyrażaniu się” i Dionizjusza — „O zestawianiu wyrazów”. Teksty poprzedza doskonały wstęp — zarys dziejów starożytnej retoryki i stylistyki, przygotowany przez tłumacza oraz prof. Tadeusza Milewskiego.

W tejże serii wydano również komedję Musseta „Nie igra się z miłością” opracowaną przez wybitnego znawcę dramatu — Lidie Łopalińską; ze wznowień wspomnieć należy: od dawna już potrzebna „Odyseja” w przekładzie Lucjana Siemieńskiego oraz Molirowskiego „Świętoszka”, jak zawsze, w opracowaniu Boya.

Literatura — to zaledwie jeden „resort” Wydawnictwa Ossolineum. Bez porównania szerszy krąg odbiorców — bo któż nie śledzi tego rodzaju publikacji? — ma wrocławską serię pamiętników. Wzbogaciła się ona wydatnie dwiema cennymi nowościami, tym ciekawszymi, że ukazują się niemal równocześnie. Pierwsza z nich — obszerny „Dziennik podróży po Anglii 1820-1821” Karola Sienkiewicza — wydany został z rękopisu nabytego niedawno przez Bibliotekę Narodową przez Bogdana Horodyskiego, który poprze-

dra „Dziennik” świetnym wstępem informacyjnym. Druga — „Pamiętnik emigranta” autorstwa Wojciecha Darasza wydana z rękopisu odnalezionego przez siebie w Kórniku) Anna Rynkowska. Pamiętnik ten obejmuje okres 25.XI 1830-4.XI 1834, uzupełnia go zaś siedem listów Darasza (do Wiktora Heltmana, Macieja Stacherskiego i Jana Nepomucena Jankowskiego).

Słów kilka dla przypomnienia autorów. Karol Sienkiewicz (1793-1860), nieustraszonego poszukiwacza poloników w archiwach zagranicznych (na zlecenie właścicieli Biblioteki w Puławach), zasłużony działacz emigracyjny — między innymi organizator Biblioteki Polskiej w Paryżu — był poza tym niezłym historykiem i literatem-amatorem. Wstawił się zwłaszcza swego czasu przekładem poematu Waltera Scotta „Pan Jęziór” (wydanym w roku 1832 pod pseudonimem: Karol z Kalinów), jego również zasługą jest tłumaczenie wiersza Kazimierza Delavigne — „Varsoviennes”, żywej do dziś „Warszawianki”. — Wojciech Darasz (1803-1852), czołowy działacz Towarzystwa Demokratycznego Polskiego w okresie Wielkiej Emigracji, bystry i krytyczny obserwator życia obyczajowego i kulturalnego swojej epoki — tym bardziej zasługiwał na zainteresowanie się odkrytą po nim spuścizną, iż „Pamiętnik emigranta” częściowo chociaż wynagradza stratę poniesioną przez spłonięcie w czasie ostatniej wojny obszernej jego korespondencji.

Całe prawie miejsce, przeznaczone dla tej rubryki, zajął przegląd wydawnictw Ossolineum, więc — tym razem — niesposób wyzerpać listy innych nowości. Aby jednak uzupełnić jakoś ostatnie potrzeby naszej literatury „wspomnieniowej” — wymienimy jeszcze dwa dobrze ze sobą korespondujące wznowienia PIW-u: „Czekamy na życie” Heleny Boguszewskiej i „Dom nad łąkami” Zofii Nalkowskiej. — „Czytelnik” wydał ostatnio „Zegar Słoneczny” Jana Parandowskiego — tomik zebranych opowiadań znakomitego pisarza, tematycznie związanych z okresem jego młodości.

an